Nr. 51. Warszawa, dnia 9 (21) Grudnia 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Przez cały ciąg istnienia **Prawdy** *z odezw naszych do jej abonentów wyłączone były wszelkie przechwałki i czcze obietnice. Więc i obecnie, zapraszając ludzi pokrewnych nam przekonaniami do koła prenumeratorów naszego pisma, powołujemy się tylko na to, cośmy przez 15 lat zrobili, a nie na to, co zrobić zamierzamy. Świadectwo bowiem przeszłości jest wymowniejsze i pewniejsze, niż przekaz na przyszłość. Pierwsze zdobyć trudno, nieraz bardzo trudno, drugi — wystawić łatwo. Mniemamy zaś, iż ten dyplom uznania, na który usiłowaliśmy zapracować dotychczas, daje nam niewątpliwe prawo do wiary, że* **Prawda** *istotnie była organem zasad i dążeń zależnych tylko od prawdy, uczciwości i dobra społecznego. Po za temi ideami nie miała ona żadnych innych celów i żadnych pragnień, pozostała w charakterze swoim tak czystą, jak tylko pismo publiczne czystem być może.*

POLITYKA.

U BISMARCKA.

Cesarz niemiecki, był w Kielu, aby dać moralną naukę nowemu zaciągowi do marynarki. Co powiedział, o to mniejsza, jak głęboko w serca nowozaciężnych spadły jego słowa—to obojętne: ważniejszem od krasomówstwa i jego wstrząsających skutków jest niespodziewane wstąpienie z powrotem do Bismarcka. Tych odwiedzin nikt się nie spodziewał, nikt przewidzieć nie mógł. Autor „Aegira“ powziął postanowienie swe nagle, w Altonie. Uprzedził tylko księcia samotnika i zjawił się na stacyi, prowadzącej do Friedrichsruhe. Nie potrzeba mówić, jaką przyjemność sprawił dymisyonowanemu kanclerzowi.

W obecnym stanie zamętu i nieradności, w jakim znajduje się rozum kierujący Niemcami, odwiedziny we Friedrichsruhe nabierają znaczenia.

Próba z księciem Hohenlohe, prowadzona już od czternastu prawie miesięcy, mogła przynieść tylko rozczarowanie. Nikt tego kanclerza nie bierze z poważnej strony. Każdy po za nim upatruje samego cesarza, a cesarz znowu, mając takiego kanclerza, nietylko podmiotowo nie czuje się zupełnie swobodnym, ale i przedmiotowo nie znajduje w otoczeniu swojem tego, czego mu potrzeba do wykształcenia się w twardem rzemiośle polityki, prócz zdolności wymagającem i wprawy w robotę jak najlepiej kierowaną. Czuje młody monarcha, że mu brak czegoś, a zajście z Kollerem, którego mimo woli swej pozbyć się musiał, pokazało mu, że mając władzę, można jej nie mieć. Ćma zniechęcenia osiadła na jego umyśle i dręczy go i wysysa mu wiarę w samego siebie.

Tą wiarą dotychczas szedł Wilhelm II; tę wiarę złożył we Friedrichsruhe. Dzienniki odmawiają odwiedzinom wszelkiego znaczenia; ale sama natura stosunków przeczy tym zaprzeczeniom. Friedrichsruhe d. 16 grudnia było dla os. Wilhelma rodzajem Canossy. Przyszedł uściskać twórcę jedności, przyjaciela swego dziada, aby w tym uścisku wyznać swą winę z d. 20 marca 1890 r., objawić skruchę, podjąć wzgardzoną metodę rządzenia, pomyśleć o jej wznowieniu i wogóle nawę niemiecką pchnąć na te wody, na jakich ją trzymał Bismarck do owego dnia niezapomnianego w dziejach Niemiec.

Jak ów terminator w czarnoksięstwie, cesarz Wilhelm umiał zaklęć duchy, ale nie umie ich zażegnać. Starczyło mu myśli za improwizacyę, braknie woli na czyny, braknie ludzi — a dziś już nawet i stronnictw. Własnym siłom już nie ufając, zwraca się do tych, które zaświadczyły o sobie ciągłem powodzeniem, że są. Jeżeli pustelnik, zajęty zgarnianiem złota za drzewo masztowe, nie odmówił poparcia, mając gotową karm' dla miłości własnej, kto wie, czy długo czekać będzie potrzeba na nominacyę — choćby hr. Herberta na kanclerza rzeszy? Będzie to tryumf niebywały, ogromny.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nareszcie d. 12 b. m. wpłynęły na Bosfor dwa pierwsze statki stacyjne, wytargowane przez dyplomacyę w dodatku do normalnie już tam stojących. Anglia i Włochy, trzymające się jej fartucha, uprzedziły inne mocarstwa; za niemi poszły Austro-Węgry. Następnie zjawił się u Złotego-Rogu okręt rosyjski, o niemieckim nic nie słychać; francuzki współczesnością stwierdził jedność z Rosyą. Dyplomacya angielska groziła już zerwaniem, zaryczała, ale jak ów lew

ze „Snu nocy letniej:“ nikt się jej nie lękał. Już po wpłynięciu drugich statków ambasadorowie odbyli naradę zbiorową, prawdopodobnie dla wzajemnego upewnienia się o swej bezinteresowności. Na dworze sułtana największe zaufanie posiada p. Nelidow, największą też objawiający dla niego delikatność. Anglia, która w r. 1878 urzędownie przed całą Europą zobowiązała się bronić Turcyi, uchodzi w oczach i Abdul Hamida i staroturków za jej wroga. Niemcy okazują, że nie chciałyby jej zrobić nic złego—pojmając złe nawet jako przykrość wyrządzaną sułtanowi. Francya ma drogę wskazaną przez swą politykę od r. 1891-go. Takie stosunki wytwarzają położenie, w którem Anglia coraz bardziej wpływ swój traci i tracić będzie, dopóki nie ulegnie prądom trzeźwiej i silniej występującym.

Już teraz p. Salisbury rozpoczął odwrót i odmówił przyjęcia deputacyi Armeńczyków, którzy mieli mu podziękować za *już*, a poprosić go o *jeszcze*. W sprawie reform nacierać też nie będzie na Portę i zgodzi się z resztą dyplomacyi, że zanim się nada dobrodziejstwa, trzeba pierwej przywrócić spokoj, a tu do spokoju bardzo jeszcze daleko. W Maraszu, na wschód Celesyryi, a północ Syryi, rozruchy między ludnością turecką otarły się już o poddanych francuskich. W Armenii właściwej nędza wytwarza rozbójnictwo; u zgaszonych ognisk rodzinnych zasiadły jędze ludzkości i drwią z jej praw. W Zejtunie powstańcy armeńscy stawiają czoło Turkom; wypadają na doliny i podobno wyprawiają rzezie na bezbronnych. Nadspodziewanie szybkie uruchomienie rezerw tureckich w Azyi pozwala przewidywać wystawienie sił, liczebnie dostatecznych do okiełznania namiętności; ale nieprzyjazna pora i nieporządek w moralnej postawie wojska, powołanego do przywrócenia materyalnego porządku—opóźniają przewidywany termin uspokojenia.

W dyplomacyi niema zgody; przeciwieństwa i sprzeczność ciągłe; cele osobnicze zasłaniają wspólny, nie pozwalają mu nawet wyłonić się w jakimś już stałym zarysie. Anglia chce Turcyę przetworzyć; pozostała Europa nie chce w niej nic tykać: niech wszystko zostanie, jak jest, bo może być gorzej, gdy się cokolwiek ze zmurszałych podwalin ruszy. Długie lata lekkomyślności angielskiej wydały owoc nieufności, poza którą może być już tylko jawna nieprzyjaźń. W Ildiz-kiosku przekonani są, że Anglia proponowała mocarstwom złożenie Abdul-Hamida z tronu. Takiej niedorzeczności dopuścić się dyplomacya angielska nie mogła. Co innego myśleć, a co innego proponować; w stosunkach danych propozycya byłaby tylko żakowskim wybrykiem. Sułtan jednak ma już odsłonięte zamysły, a to mu wystarcza do odwrócenia się zupełnego od Anglii.

Sprawiedliwość angielska nie kwapi się z wydaniem Artona. Apelacya od wyroku na Bowstreet wisi, a obrońca łotra ma jaknajlepszą otuchę, że jego klient ostatecznie wyjdzie bez szwanku, gdyż charakter polityczny, usuwający wydanie, przeważy jakoby nad kryminalnym, wydanie nakazującym. Wychodzi teraz na jaw owa energia, z jaką oportunizm republikański etyczno-polityczny ścigał Artona po Europie w r. 1892 i 3. On sam opowiada przygody swoje w liście do *Figara* i trzeba zanim powtórzyć słowa tego ciekawego wywnętrzenia się kryminalisty, że policyanci francuzcy odegrali względem niego rolę żandarmów z operetki. Obecnie znalazł się podobno w Peszcie kufer Artona z papierami, znalazły się dokumenty do Panamy i w samym Paryżu, wskutek odbytych rewizyi; wyśpiewa też niejedno ów policyant, który uganiał się za Artonem po Europie, zawsze się spóźniając, tak, aby nigdy nie złapać. Miał niewątpliwie instrukcye, chociaż mógł być i przekupionym. W tych instrukcyach tkwi właśnie grot polityczny, tkwi i w owej legendowej grzbietówce od czeków ze 104 nazwiskami—i w każdym franku, wziętym przez tego lub owego polityka za uprzejmość w milczeniu, jeśli już nie w głosowaniu.

Doniesienia urzędowe z Afryki o klęsce włoskiej są nieszczere. starają się ukryć porażkę generała Arimondiego, który Tosellemu spieszył z odsieczą, nie przyznają się do wycięcia w pień całego oddziału, przeważnie złożonego z sudańczyków, nie podają wreszcie wysokości strat. W istocie, pogrom pod Amba-Aladży jest wielki. Musieli sami włosi dużo utracić z szeregów, skoro okopać się potrzebowali w Makalle, a w Adigracie oczekują napaści. Mają jeszcze stanowiska obronne w Adui i Asmarze. Jeżeli nieprzyjaciel ma rozum i siłę dostateczną, to postara się uderzyć na tę ostatnią miejscowość: zdobycie jej odcięłoby włochów od morza. Może i sudańczycy skorzystają ze sposobności i spróbują odzyskać Kassalę. Z Włoch odpływają już posiłki, więcej nawet, niż chce Baratieri: Crispi gotów jest mu posłać 25 tys., on chce tylko 9. Ostatecznie, jeśli się rasy i negusy abisyńskie nie załatwią z nieprzyjacielem przed nadejściem posiłków, on załatwi się z nimi: Europa pobije Afrykę i północna Abisynia, dla samego bezpieczeństwa włochów, stanie się włoską.

Na Kubie powstańcy wysadzają pociągi, biorą całe kompanie do niewoli, zwyciężają w potyczkach, palą plantacye. W Madrycie przekupstwa, wskutek których ministrowie: robót publicznych, Bosch, i sprawiedliwości, Romero, dostali dymisyę. Mają już następców.

BADANIA NAUKOWE.

NASI PRZODKOWIE.

Zaliś się nie możemy, ażeby pole archeologii przedhistorycznej i nauk pokrewnych leżało u nas zupełnym odłogiem. Owszem, gromadzimy materyał, chociaż coraz opieszalej, bo był czas, gdy panowała moda na tego rodzaju poszukiwania i wielu pragnęło pochwalić się posiadaniem siekierki krzemiennej, czaszki kopalnej lub ozdoby z bronzu. Nazbierało się sporo faktów, które zdołałyby przelać pewne światło na naszą przeszłość przedhistoryczną, gdyby ktoś zestawił je z sobą, ocenił krytycznie i wyciągnął wnioski. Ale zbywa na takiej chętnej, zwłaszcza zaś umiejętnej ręce. Materyał spoczywa rozproszony po miesięcznikach i wydawnictwach naukowych, lub w pracach specyalnych. Może takie uporządkowanie zachęciłoby kogoś do dalszej pracy w tym zakresie, bo jakeśmy nadmienili, zapanowała opieszałość, która zakrawa na obojętność. Jeszcze gorzej dzieje się z poszukiwaniami paletnologicznemi. Śmierć zabrała dwóch jedynych pracowników na tej niwie: d-ra Kopernickiego i d-ra Dudrowicza, tak iż nietylko nie ma komu zajmować się dalszem prowadzeniem studyów, ale nawet w obecnej chwili nie umiemy wskazać nikogo, ktoby krytycznie zdołał ocenić czyjąś pracę.

BRET HARTE.

BĘBENEK RUPRECHTA.

Opowiadanie wigilijne.

Było to w Kalifornii, około Bożego Narodzenia, w czasie, kiedy deszcz spada ulewnie i trawa wytryska z ziemi. Zdarzały się chwile, w których słońce, jakby dziwem, przebijało duże i małe chmury, zalewało swymi złotymi promieniami poszarpane pasma gór, zmieniając je do niepoznania. Śmierć i życie mieszały się z sobą, bo właśnie w chwili wyczerpania i zniszczenia przyrody budziła się do nowego, wesołego żywota. Nawet burze, zrywając z drzew ostatnie wyschłe listki, przynosiły równocześnie żywność nabrzmiewającym pączkom.

Na wsi nie wiedziano nic o tym okresie posępnego spoczynku, do którego zmusza śnieg. Przez niwy przebiegał rączo pług wieśniaka, a wiecznie zielone choinki, zdobiące izby dziecinne w wieczór wigilijny, odbijały dziwnie od róż, które kwitły pod oknami i których główki południowo-zachodni wiatr wciąż trącał o szyby...

*

„A teraz słuchajcie—rzekł doktór, przysuwając krzesło do kominka i patrząc życzliwie ale stanowczo w półkole jasnych główek, które go otaczały. — Nim zacznę opowiadanie, zapamiętajcie sobie dobrze, że nie chcę, aby mi kto przerywał niemądremi pytaniami... Na pierwsze pytanie nie odpowiem, po drugiem wyznaczę każdemu dawkę olejku rycinowego. Chłopcu, który będzie ruszał nogą lub ręką, zaraz ją odejmę... Przyniosłem z sobą narzędzia, a co mówię, lubię dotrzymać. Zgoda?

— Tak, tak! — zawołało razem sześć młodocianych głosików.

Mimo to wybuchła salwa gorących pytań.

— Cicho!.. Spuść nogi, Bob, i nie brzęcz tak swoją szablą!.. Flora usiądzie, jak młoda dama, obok mnie i da innym dobry przykład... Fung-Tang może także zostać, jeśli chce... Tak, przykręćcie nieco gaz... Dobrze... Teraz dość jasno, aby widzieć i ogień na kominku, i gwiazdki na niebie. Cicho! Kto będzie gryzł migdały, albo zbyt głośno jadł rodzynki, ten wyjdzie.

Zapanowała głęboka cisza.

Bob ostrożnie odłożył szablę i potarł się zamyślony w nogę. Florcia pogładziła z kokieteryą fartuszek i siadłszy obok lekarza, położyła swą rękę na jego ramieniu. Fung-Tang, mały chiński poganin, któremu pozwolono w uroczystości wigilijnej wziąć udział, patrzył na grupę z uśmiechem napół życzliwym, napół filozoficznym. Tylko słabe tykanie na kominku zegara o który wspierała się pastuszka bronzowej cery i bardzo symetrycznej budowy ciała, mąciło ciszę.

— Będzie temu blizko cztery lata — zaczął doktór — jak słuchałem w pewnem mieście szeregu wykładów. Jeden z profesorów, człowiek jowialny i uprzejmy, zaprosił mię do siebie na wigilię. Zaproszenie przyjąłem tem chętniej, że chciałem poznać jednego z jego synów, który chociaż liczył dopiero lat dwanaście, uchodził za dziecko cudowne. Nie śmiem wam opowiadać, ile wierszy łacińskich umiał ten chłopczyk na pamięć, a ile angielskich sam ułożył. Bo, po pierwsze, zaraz byście chcieli, abym wam te wierszyki powtórzył, a po drugie, ani na łacińskich, ani na angielskich poezyach nie znam się. Ale byli tam ludzie, co się na tem dobrze rozumieli, i ci mówili, że są przedziwne, jak na takiego chłopca, i wszyscy rokowali mu świetną przyszłość. Wszyscy, z wyjątkiem ojca.

W zakresie poszukiwań, poświęconych odkryciu żywiołów rasowych, które ongi żyły na naszej ziemi, rozporządzamy materyałem bardzo szczupłym, bo zaledwie paru dziesiątkami czaszek. Liczba to drobna, ale nawet ona mogłaby nam coś wyjaśnić, gdybyśmy posiadali inne wskazówki — natury archeologicznej. Przedewszystkiem trzeba byłoby poznać rozmieszczenie grup plemiennych na przestrzeni naszego kraju, oraz dzielnic ościennych. Jest to rzeczą trudną, ale nie niemożliwą, acz setki lat przedzielają nas od epoki przedhistorycznej, gdy żył barbarzyńca-poganin. Klucza dostarczyłyby zwyczaje pogrzebowe. Na przestrzeni Ameryki północnej np. każde plemię posiada właściwy sobie sposób grzebania zmarłych, oraz charakterystyczne zwyczaje. Studya porównawcze wskazują, że niemal każdy szczegół posiada tam swoje znaczenie. Nie ulega wątpliwości, że to samo działo się na ziemiach pra-słowiańszczyzny. Mamy na to nawet dowody faktyczne. Badania archeologów rosyjskich w obrębie Podniepiza dowiodły, że w każdem plemieniu istniał inny tego rodzaju obyczaj. Siewierzanie np. palili swoich nieboszczyków, Drewlanie chowali ich w ziemi, ale w innego kształtu mogiłach, niż pobliscy Dregowiczanie. Wreszcie to samo odkrylibyśmy u siebie, tylko że nie moglibyśmy oznaczyć tych zwyczajów imiennie, tj. powiedzieć, jak nazywało się plemię, które postępowało tak lub inaczej. Grobowce obrządku niecialopalnego, obok inne, dające schronienie tylko popiołom po spaleniu ciała, rozmaitość urn i sposobów ich ustawienia, odmienna budowa mogił itd., wszystko to dałoby pewne wskazówki, które, zestawione umiejętną ręką, pozwoliłyby wyznaczyć granice geograficzne tego lub innego trybu chowania zmarłych, a w dalszym ciągu siedziby pojedynczych plemion. Nie było tam bowiem i nawet nie mogło być dowolności, jak o tem świadczy cała obyczajowa atmosfera ludów pierwotnych, przedewszystkiem zaś nie może być mowy, ażeby ten sam „lud," tj. plemię, posiadające odrębną organizacyę polityczną, hołdował odrazu paru odmiennym sposobom chowania nieboszczyków. Próby takiej, w luźnym zresztą zarysie, dokonał G. Ossowski dla Galicyi. Okazało się, że rożnego systemu grobowce zajmują tam przestrzenie, wyodrębnione z dostateczną wyrazistością. Wszystkich obszarów odmiennych jest tam trzy. Jeden, krakowski, ciągnie się od granic szlązkich do Sanu; na tej przestrzeni nie ma zupełnie grobowców obrządku niecialopalnego, ani kurhanów, natomiast istnieją liczne cmentarzyska z urnami. Słowem, siedział tam ongi lud, który palił nieboszczyków swoich. Obszar lwowski, od Sanu, przedstawia charakter mieszany: ślady obrządku ciałopalnego spotykamy obok grobowców, w których spoczywa cały szkielet, cmentarzysk wcale niema. Wreszcie na Pokuciu i Podolu znajdujemy grobowce płytowe, obrządku niecialopalnego. O ile takie wyodrębnienie obyczajów pogrzebowych dałoby się odkryć w Królestwie, nie możemy o tem nic powiedzieć: trzebaby bowiem uprzednio zebrać cały materyał, istniejący w tej mierze, i porównać go z sobą. Zaznaczymy tylko, że istnieją grobowce różnej postaci.

Plemiona, palące swoich zmarłych i chowające w urnach tylko ich popioły, tem samem nie pozostawiłyby po sobie szczątków, które pozwoliłyby nam zbadać ich właściwości rasowe. Natomiast ludy, hołdujące obrządkowi niecialopalnemu, nie zeszły ze świata bez śladu, bo w grobowcach spotykamy szkielety ich członków. Naturalnie jest to tylko cząstka wieków ubiegłych, ale i to dobre, gdy niema nic więcej. W ten sposób zbadanie tajemnic naszej przeszłości rasowej posiada z góry nakreślone granice, których przestąpić nie zdołamy.

Cóż opowiadają nam szczątki, spoczywające w grobowcach płytowych?

Czaszki, wykopane w Słaboszewie (w Poznańskiem), oraz nad rz. Liwcem pod Węgrowem, stanowią najważniejszy materyał, którym rozporządzamy: w pierwszej miejscowości znaleziono 21 czaszek, w tej liczbie 12 męzkich i 9 żeńskich; w drugiej 15 czaszek, z których na męzkie wypada sześć. Są to cyfry bardzo pokaźne wobec tego, że wszystkie czaszki pochodzą z grobowców, blizko siebie położonych. Czaszki te odznaczają się budową podłużną, zwłaszcza u mężczyzn—taką, jaką w tych okolicach spotykamy tylko wyjątkowo. Taki sam charakter przedstawia też czaszka z Turowa (pomiędzy Płockiem a Płońskiem). Czaszki dzielnic ościennych również należą do długich. Od Dniepru po przez Podole galicyjskie aż do granicy bukowińskiej, tam, gdzie dzisiaj ludność jest wybitnie krótkogłowa, ongi siedziały ludy bardzo długogłowe. Dr. J. Kopernicki tak streszcza wnioski, do których doszedł w ciągu wielu lat nieustających studyów: „Nie mają one (tj. czaszki) najmniejszego powinowactwa rasowego z ludnością dzisiejszą, lecz owszem należą do szczepu zupełnie obcego tegoczesnej małoruskiej ludności Wołynia i słowiańskiej wogólności. Istnieje prawie tożsamość rasowa tych czaszek z pochodzącemi z cmentarzysk południowo-niemieckich." W powyższym ustępie jest mowa o czaszkach radzymińskich; z powodu husiatyńskich powyższy badacz pisze, że należą one do ludności długogłowej, „która pod względem kraniologicznym nic przedstawiając nic wspólnego z tegoczesną ludnością tego kraju, zostaje w ścisłym związku z przedhistoryczną ludnością Europy." Studya Lissauera w Prusiech również wykazały istnienie na Kaszubach, w epoce przedhistorycznej, typu, który budową swoich czaszek zbliża się do ludów, pochowanych w rzędowych cmentarzyskach Bawaryi (z w. IV—VIII), pochodzenia germańskiego, wówczas gdy dzisiejsi Kaszubi są krótkogłowcami. J. Kopernicki podziela zdanie wymienionego archeologa i z powodu czaszek tczewskich powiada: „Nowoznalezione czaszki są zupełnie podobne do dawniej znanych... budowa ich jest odmienną od obecnej" (tj. kaszubskiej). Czaszka z pod Wiszowa w pow. słonimskim, także jest długogłową. Wyjątek stanowi czaszka z Czekanowa, ale wyjątek, który jest cennym kluczem do odkrycia stosunków przeszłości.

Są pewne fakty, pozwalające w przybliżeniu oznaczyć czas, z którego pochodzą niektóre czaszki. Mianowicie w Słaboszewio i Czekanowie, oraz nad rz. Liwcem, przy szkieletach znaleziono ozdoby, znane u archeologów pod nazwą kółek kabłączkowych. Archeologia uważa je za wyrób rdzennie słowiański, pochodzący najpóźniej z w. XII po Chr.

A zatem w zaraniu naszych dziejów na ziemiach polskich oraz ościennej Słowiańszczyzny żyłyby ludy długogłowe, które z biegiem czasu znikły, pozostawiające swoję budowę wśród dzisiejszych mieszkańców tych okolic tylko wyjątkowo. Jeżeli zaś porównamy kształty ich czaszek z budową czaszki blondynów i zważymy ich podobieństwo wzajemne, będziemy mogli dodać do powyższego, że owe ludy posiadały jasnej barwy oczy i włosy.

Nastręcza się teraz pytanie co do stosunku tych długogłowych blondynów do ludów obrządku ciałopalnego, które między innemi zamieszkiwały obszar krakowski. W tym razie bardzo cennej wskazówki

---

Ten potrząsał z powątpiewaniem głową, ilekroć słyszał przepowiednie. Lecz był to człowiek zupełnie prozaiczny.

Miło schodził ów wieczór wigilijny u profesora. Wszystkie dzieci z sąsiedztwa zebrały się, między niemi był i Ruprecht, mądry synalek gospodarstwa. Smukły chłopczyna, jak Bobuś, a bialutki i delikatny, jak Klarcia. Troszkę chorowity, jak zapewniał ojciec. Rzadko wybiegał na podwórko dla zabawy z dziećmi, wolał siedzieć w domu i czytać książki lub pisać swoje tak zwane wiersze.

No, i mieliśmy taką samą choinkę, jak tu, rozmawialiśmy i śmieli się, a tymczasem wywoływano imiona dzieci, którym gotowano podarek; wszyscy byli zadowoleni i szczęśliwi. Wtem jedno dziecko krzyknęło nagle głosem, w którym mieszało się zdziwienie i wesołość:

— Jest tu coś dla Ruprechta... Zgadnijcie, co?

Zaczęliśmy wszyscy zgadywać.

— Biurko do pisania!

— Zbiorowe wydanie Miltona!

— Złote pióro!

— Słownik z rymami!

— Nie.

— Więc cóż właściwie?

— Bębenek.

— Co? — zapytali wszyscy zdziwieni.

— Bębenek z imieniem Ruprechta!

I był to w istocie bębenek, dość duży, piękny, nowy, połyskujący, oprawny w mosiądz, z kawałeczkiem papieru, na którym widniał napis: Dla Ruprechta!

Wszyscy zaczęli się śmiać, bo żart był zabawny.

— Widzisz, Ruprechcie — powiedział jeden — to znaczy, że narobisz dużo hałasu w świecie.

— To pergamin dla poety — mówił drugi.

— To Ruprechta najnowsze dzieło, oprawne w owczą skórę — oświadczył trzeci.

— A więc teraz zabębnij nam klasycznie! — wołał czwarty.

Ale Ruprecht zdawał się być zbyt dotkniętym, aby módz odpowiedzieć choćby słówko. Zmienił się, zagryzł usta i nareszcie wybuchnął gwałtownym płaczem. Potem opuścił izbę. Żartownisie poczuli wstyd i wszyscy jęli pytać, kto mu właściwie dał ten bębenek. Ale nikt nie wiedział, a jeśli wiedział, to milczał wobec współczucia, jakie obudził ku sobie wrażliwy chłopczyk. Nawet czeladź zwołano i pytano, lecz nikt ani domyślał się, skąd pochodził bęben. Najdziwniejszem wydało się to, że zauważono go dopiero przy zdejmowaniu podarków, zawieszonych na choince... Czy ja sam o tem myślę?.. Tak, mam swoje zdanie... Ale, bez pytań! Niech wam wystarczy, że Ruprecht owego wieczoru nie wrócił do pokoju i że towarzystwo wnet się rozeszło.

* * *

Zapomniałem o tem zupełnie, kiedy następnej wiosny wybuchła tak zwana wojna secesyjna, której celem było całkowite zniesienie niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych. Przyłączono mię, jako lekarza, do jednego ze świeżo utworzonych pułków. Podążałem ku swemu oddziałowi, a że droga prowadziła przez miasto, w którem mieszkał profesor, odwiedziłem go i spytałem o Ruprechta.

Profesor potrząsł smutno głową i rzekł:

— „Biedne dziecko, jest chore od ostatniego Bożego Narodzenia, kiedy pan go widziałeś; coraz mu gorzej. To rzadki — i dodał bardzo długą łacińską nazwę choroby—bardzo rzadki i bardzo dziwny wypadek; lecz idź że go pan sam zobacz, może to dobrze nań wpłynie i naprowadzi go na inne myśli."

Udałem się do pokoju Ruprechta: chłopczyk leżał na sofie, obłożony poduszkami.

Naokoło piętrzyły się jego książki, a nad głowami spostrzegłem, co wydało mi się dziwnem, bębenek, o którym wam mówiłem... Twarz jego była zapadnięta i wychudła; na policzkach świeciły czerwone plamy, a lśniące oczy miał szeroko rozwarte. Ucieszył się zobaczywszy mię, a gdy

dostarcza ta okoliczność, że gdziekolwiek znaleziono czaszki męzkie obok żeńskich, te ostatnie odznaczają się właściwościami antropologicznemi, świadczącemi, że ówczesne kobiety należały do innej rasy, niż mężczyźni. Zestawmy zresztą cały materyał w tej mierze. Wskaźnik szerokości wynosił dla czaszek (przeciętnie):

	męskich	żeńskich
Ze Słaboszewa . . .	72,5	77
z pod Węgrowa . .	74,3	78,4
„ Wlszowa . . .	71,8	—
„ Turowa	64,87	—
„ Czekanowa . . .	—	87,19

Różnica budowy czaszek u obu płci jest wyraźną. J. Kopernicki tak odzywa się z powodu tego znamiennego faktu: „Na podstawie tak rażącej odmienności mamy prawo twierdzić z pewnością, że w ówczesnej ludności Słaboszewa kobiety należały do rasy zupełnie innej niż mężczyźni.“ Uczony ten, opisując czaszki, znalezione w okolicach Węgrowa, dodaje: „W czaszkach kobiecych wszystko znamionuje wyraźne zboczenie ku typowi krótkogłowemu. Stałość cech kraniologicznych w czaszkach kobiecych, a obok nich tak wielka niestateczność tychże w czaszkach kobiecych mają niezmierną wagę kraniologiczną, albowiem pierwsza jest oczywistem znamieniem czystości rasowej, podczas gdy chwiejność tychże cech w czaszkach kobiecych dowodzi niewątpliwej mieszaniny dwóch typów, tj. długogłowego i krótkogłowego.“

Skąd więc wziął się pierwiastek krótkogłowy? Czy nie można byłoby przypuścić, że ludy, które paliły swoich nieboszczyków, należały właśnie do takiej grupy i że kobiety, pochowane w grobowcach płytowych obok mężczyzn, pochodziły z plemion, hołdujących obrządkowi całopalnemu? Etnografowie i antropolodzy, z obecnego bytu ludów pierwotnych, mogliby przytoczyć sporo przykładów pokrewnej natury. Istnieją plemiona sobie obce i wrogie, ale za pomocą branek ujednostajniające się z biegiem czasa pod względem antropologicznym. Zulowie, ci wielcy zdobywcy w Afryce południowej, mieli zwyczaj wycinać w pień mężczyzn, ale zostawiali kobiety. Czy coś podobnego nie działo się ongi na naszej ziemi, oraz sąsiednich?

Bądź co bądź istniały wtedy obok siebie grupy długogłowe, prawdopodobnie blondyni, i krótkogłowe, obie zaś posiadały odmienne zwyczaje. Kilkakrotnie roztrząsano pochodzenie pierwszych. Z powodu długogłowych czaszek, znalezionych w Poznańskiem, Virchow parę razy zabierał głos, stawiając dwie możliwości: ci długogłowcy albo byli to zeszłowiańszczeni Germanie, albo jakiś pierwotnie długogłowy szczep grupy słowiańskiej. Uczony niemiecki, który zresztą nie zwrócił uwagi na związek tego typu z grobowcami płytowymi, przedewszystkiem zaś na odmienny charakter czaszek kobiecych, uważa za prawdopodobniejszą drugą z powyżej wymienionych hypotez, mianowicie, że długowłowcy byli Słowianami. Natomiast dr. J. Kopernicki stanowczo skłania się do pierwszego przypuszczenia: przypisuje czaszkom długim pochodzenie germańskie, właściwości zaś kobiece uważa za dowód oddziaływania ze strony Słowian. Że Słowianie już podówczas odznaczali się krótkogłowością, o tem świadczą badania prof. Antonowicza z Kijowa nad kurhanami dawnych Drewlan. Większość, bo 65% ogółu czaszek tam znalezionych, należy do krótkogłowych; przyczem wymiary długich czaszek nie dosięgają także krańcowych granic, jak w Słaboszewie i gdzieindziej. Ale czy to istotnie byli Germanie, trudno twierdzić w sposób stanowczy.

Dalsze rozstrzygnięcie pytania zależy od archeologii. Przedewszystkiem trzeba byłoby zbadać drobiazgowo wzajemne rozmieszczenie różnych sposobów grzebania zmarłych i gdyby się okazało, że obrządek całopalny istniał obok niecałopalnego (jak to jest faktycznie w wielu okolicach), należałoby w ciągu dalszym określić wzajemny, ilościowy stosunek do siebie obu systemów. To wykazałoby nam może, że groby płytowe, dające schronienie całym szkieletom, stanowią jedynie oazy wśród cmentarzysk obrządku całopalnego. Dowiedzielibyśmy się, czy ludy niepalące swoich zmarłych, siedziały zwartą przestrzenią, lub pasami i osadami odosobnionemi. Odpowiednio do tego nasze wnioski musiałyby brzmieć bardzo odmiennie. Np. gdyby z takich obliczeń wypadło, że druga hypoteza jest prawdopodobniejszą, wówczas należałoby wnioskować, że groby płytowe pozostały po najezdnikach, którzy żyli drobnemi grupami wśród ludności im obcej. Takie stosunki oglądamy dzisiaj na wielką skalę w Afryce środkowej. Wśród Murzynów sadowią się Arabowie, zwykle na pagórkach, otaczają swoje osady ostrokołem, rabują ludność czarną i z pośród niej biorą sobie żony (tacy awanturnicy przybywają do tych okolic bezżenni). Może tak działo się ongi na naszych ziemiach.

Hypoteza powyższa opiera się na założeniu, że ludy obrządku całopalnego były krótkogłowcami. Prócz charakteru czaszek kobiecych, nie mamy na to dowodu i nigdy mieć nie będziemy. Przypuszczenie więc nasze jest bardzo chwiejne! Inny dowód na jego korzyść moglibyśmy zaczerpnąć z rozmieszczenia typów antropologicznych w chwili dzisiejszej. Rozejrzymy to zagadnienie w następnym numerze.*)

L. K.

*) Do jakiego stopnia poszukiwania archeologiczne odbywają się u nas bez znajomości rezultatów etnografii porównawczej, o tem daje pojęcie fakt następujący: W niektórych grobowcach znaleziono kości, pomalowane jednostajnie na czerwono. Wytłomaczono to w sposób prosty: ciało nieboszczyka tak pomalowano, farba zaś po jego zgniciu osiadła na kościach. Naturalnie żaden z odkrywców tego wyjaśnienia nie zdołałby wytłomaczyć, jak to się stać mogło. Etnografia zaś odrazu wykazałaby pochodzenie takiego zwyczaju. Istnieją ludy, które chowają tylko kości zmarłego już po odpadnięciu ciała, przyczem pociągają je także farbą czerwoną.

LITERATURA I SZTUKA.

JULIUSZ LEMAITRE.

III.

Krytyk ten uderza nas niesłychaną zdolnością do wcielania się w autora, umie on wtajemniczać się w „sposób przetwarzania rzeczywistości“ każdej organizacyi psychicznej. Wysokie poczucie odcieni sprawia przytem, że on daje nam nietylko rys zasadniczy danej indywidualności, lecz umie odczuć i odtworzyć samą indywidualność — nie główną jej sprężynę, lecz cały cudowny mechanizm artystyczny w ruchu. Z drugiej strony stanowisko takie z góry wyłącza możliwość wszelkiej teoryi krytycznej: jest on — że tak powiem — oświeconym anarchistą sztuki — na dnie bowiem anarchizmu leży w istocie indywidualizm. Dlaczego jednak zasada ta, jak widzieliśmy, nie doprowadza nigdy do

---

posłyszał, dokąd jadę, zadał mi tysiąc pytań co do wojny. Zdawało mi się, żem już odwrócił umysł jego od chorobliwych majaczeń, gdy nagle on chwycił mię za rękę i przyciągnął do siebie.

— Doktorze — szepnął zcicha — nie będziesz się śmiał ze mnie, gdy ci coś opowiem?

— Ale, broń Boże—odrzekłem.

— Czy przypominasz sobie bębenek?— mówił dalej i wskazał go na ścianie. „Czy pamiętasz także w jaki sposób przyszedłem do niego?... Otóż w kilka tygodni po Bożem Narodzeniu leżałem tu pewnego wieczora w pół śnie, a bęben wisiał nad moją głową... Naraz ktoś zaczął weń bić—z początku zwolna i słabo, potem prędzej i głośniej, aż nareszcie jego gwar napełnił cały dom... Nie śmiałem tego nikomu powiedzieć, ale odtąd słyszałem go co noc.

Zatrzymał się na chwilę i popatrzył mi wzrokiem bjaźliwie pytającym w twarz, potem szepnął:

— Czasami leciuchno na nim coś bębni, czasem bardzo mocno, ale zawsze coraz raźniej i raźniej, aż nareszcie kończy się biciem tak głośnem i strasznem, że za każdym razem wyczekuję, iż ludzie z domu wejdą do mego pokoju i spytają co to... Ale myślę, doktorze... myślę—powtórzył zwolna i znowu spojrzał na mnie trwożnie—że prócz mnie nikt nie słyszy bębnienia.“

To samo zdanie i ja podzielałem i spytałem go, czy słyszy bęben tylko w nocy.

— Czasami słyszałem go i we dnie— odparł—mianowicie, gdy dużo czytałem i pisałem; zawsze wtedy brzmiał donośnie, jak gdyby gniewał się i chciał odciągnąć moją uwagę od książek.

Popatrzyłem nań uważnie i dotknąłem pulsu... Oczy jego były jasne i czyste, tętno nieco gorączkowe i nieregularne. Próbowałem wyjaśnić mu, że jest bardzo osłabiony, że zmysły jego są do najwyższego stopnia wrażliwe, jak to bywa u ludzi chorowitych, i że prawdopodobnie wskutek działania krwi wyobraża sobie, iż słyszy bicie bębna, zwłaszcza gdy czyta albo jest rozdrażniony lub znużony.

On słuchał mię z melancholijnym i nie dowierzającym uśmiechem, ale podziękował mi za próbę wyjaśnienia. Wkrótce opuściłem go... Na schodach spotkałem profesora. Powiedziałem mu, jakiego jestem zdania... No, dla was to obojętne; jakiego.

— Potrzebuje ruchu i świeżego powietrza, odrzekł profesor. Musi wejść w praktyczne, czynne życie. Tak *ja* myślę.

Profesor nie był złym człowiekiem, ale nie lubił, aby mu przeczyć i sądził—jak wielu innych rozumnych ludzi—że rzeczy których nie rozumie, są śmiesznemi głupstwami.

Tego samego dnia wyjechałem z miasta i w napreżeniu, w jakie wprawiają pobojowiska i szpitale, zapomniałem o małym Rupprechcie i nie słyszałem nic o nim, aż raz spotkałem w armii dawnego kolegę, który także znał profesora. Ten opowiadał mi, że Robert dostał obłąkania i że podczas jednego z napadów uciekł z domu rodziców. Obawiają się tam, iż wpadł w rzekę i utonął, bo nie doszła nikogo ani jedna wiadomość o nim.

Możecie sobie wyobrazić, jak silne wrażenie zrobiła na mnie początkowo ta wiadomość. Ale przeżywałem wówczas chwile tak straszne i wzruszające, że nie wiele miałem czasu opłakiwać biednego Ruprechta.

Wkrótce potem została stoczona wielka bitwa, w której część naszych zaskoczono z nienacka i odparto z ciężkiemi stratami. Mnie wysłano od mojej brygady na pobojowisko, abym pomagał kolegom z pobitej dywizyi, bo mieli pracy nad siły. Jakąś stodołę zamieniono na szpital a skoro tylko przybyłem, dali mi robotę.

— Ach Boże—rzekł doktór biorąc na pół przestraszonemu chłopcu błyszczącą szablę z dłoni i trzymając ją z surową miną przed nim; — ta piękna zabawka jest symbolem okrutnej, szpetnej rzeczywistości.

krańcowości; dlaczego Lemaitre nie unosi się nigdy, nie zapala ani do nowatorstwa, ani wstecznictwa literackiego? Wszak oba te kierunki cechują współczesny ruch literacki? Odpowiedź na to znajdujemy już w Lemaitrze-artyście. Wiemy, że jego własny „sposób przekształcania rzeczywistości" spoczywa w wielkiej wrażliwości na półcienie, półbarwy, półtony, a nie na zasady, doktryny, namiętności w ich formie czystej, fanatycznej. Dalsza analiza Lemaitre'a i jego własne wyznanie pozwoliły nam dotrzeć do źródła tego wydelikacenia: Jest niem bardzo wysoka kultura literacka, owe erudycyjne „pokłady," przez które dusza poety filtruje każde wrażenie.

Ale jakąkolwiek jest owa erudycya, oczytanie, kultura filozoficzna i specyalnie literacka Lemaitre'a, nie jest ona prawdopodobnie wszechstronniejszą, ani głębszą od kultury — dajmy na to — Taine'a lub Brunetière'a. A mimo to tamci byli twórcami teoryj o bardzo wyraźnych konturach, podczas kiedy on unika ich, podobnie jak unika banalności (Ohnet). Widocznem jest, że żadna analiza literacka nie wytłomaczy nam różnic tego rodzaju: trzeba się tu puścić na chwiejny grunt intuicyjnej prawie psychologii, trzeba szperać w życiu autora, żeby w sprzecznym jak zwykle materyale biograficznym wybrać sobie te lub owe argumenty, ku uciesze lubiących całkiem „wyraźne" a i całkiem dowolne sądy.

Pozostaje natomiast pewien rys bezsporny, dający się odnaleźć we wszystkich, zwłaszcza artystycznych utworach Lemaitre'a, tj. w tych, którym, jak sam mówi, „oddaje się całą duszą." Jest to właściwie nastrój pewnego przygnębienia, smutku, zgryźliwości, sceptycyzmu—nastrój wszystkich *odcieni*, w które kolejno przyoblekа się myśl wątpiąca. Czy weźmiemy jego sceptyczne apokryfy do chrześcianizmu, czy bezlitośne analizy autorów, czy surowość ironiczną sztuk, którą tak trafnie zaobserwował Faguet, czy wreszcie dziwne upodobanie do rozszczepiania wszelkiego ideału na nieidealne włókienka poziomego splotu przyczyn — zawsze znajdziemy na dnie zwątpienie, jako motyw utajony tej zatrutej smutkiem atmosfery, którą stwarza w swych dziełach Lemaitre. Można powiedzieć o dziele jego, jako o całości, że jest smutne, przygnębione — mimo dowcipów kpiarza-paryżanina, mimo gry słów, którą ten smutek przysłania — zwłaszcza jeśli jest „na służbie" — w fejletonie *Debats.*"

Prawie mimowoli przypomina się z tego powodu szkic Lemaitre'a o Renanie. Dziwi on się tam, że dusza Renana, mimo iż jest tak nawskróś sceptyczną, wątpiącą — pozostaje jednak zawsze pogodną. Z tego motywu dziwnej sprzeczności wysnuwa swoję charakterystykę mistrza. Chciałoby się tę charakterystykę niejako odwrócić i zastosować do niego samego. Widzieliśmy, jak niegdyś najbardziej go oburzała banalność — i istotnie, prawie nigdy nie bywa banalnym; w Renanie uderza go najbardziej pogoda — pogody nie znajdziemy za to w nim samym. I gdybyśmy mogli z cytatami w ręku wykazać, ile razy myśl Lemaitre'a płynie ze źródeł tego mistrza— nie potrzebowalibyśmy dowodzić, że sam on jest jego uczniem.

Renan mówi: „Amiel zapytuje: „Co nas zbawia?" — Ach, mój Boże! Zbawia nas to, co każdemu z nas służy za racyę bytu. Środek zbawienia bynajmniej nie jest jednakowy dla wszystkich. Dla jednego jest to cnota, dla innego — dążenie do prawdy; dla kogoś — miłość sztuki, dla wielu — ciekawość, ambicya, podróżomania, zbytek, kobieta, bogactwo. A na szczeblach najniższych — morfina, alkohol."

Któż wreszcie nie zna tej obszernej skali „zbawienia" indywidualnego, która pozwalała mistrzowi sceptycyzmu wszystko zrozumieć i wszystko wybaczyć? W innem miejscu Renan pisze: „Prawda jest głucha i zimna; nasze zapały nie wzruszają jej. *Die neue Philosophie... Die neuste Philosophie... Die neuere Philosophie..* Boże święty! jakież to naiwne, ta licytacya prawdy!. Poco się tak spierać o pierwszeństwo błędu? Może nie niema na dnie zagadek, a kto wie, czy prawda owa nie jest smutną? Nie spieszmy się więc tak bardzo z poznaniem jej..."

Oto jest najpotężniejszy z tych „pokładów," które legły w duszy Lemaitre'a i przez które filtruje on każdą myśl, każde wrażenie. Kiedy np. mówi o swoich „sposobach przekształcania rzeczywistości," lub kiedy nie bez cynizmu przyznaje, że jutro zaprzeczy temu, co dziś stwierdza; kiedy kpi z Brandesa, nazywając go pogardliwie „modystką bieguna północnego," lub kiedy szkicuje Myrrhę, tak podobną w nastroju do chrześcian Renana; kiedy lubuje się w cytatach z Homera i Anakreonta, lub kiedy sięga po tematy do klasycznej i męczeńskiej starożytności; kiedy opowiada nam legendę bretońską językiem tak pokrewnym poetycznej *Euma Kosilis* bretończyka-sceptyka i kiedy, słowem, jest najmniej graczem literackim, a jak najbardziej sobą — czyż nie jest w każdym calu tworem Renana?

Gdybyśmy wreszcie chcieli podobieństwa rodowe ożywić cieniami różnic indywidualnych — to byśmy je również mogli wysnuć tylko z porównania mistrza i wyznawcy.

Czytelnik rozumie, że nie chodzi mi tu o porównanie Renana i Lemaitre'a jako pisarzy: trudno porównywać epigonów i prozelitów z twórcami epoki. Do porównania literackiego zresztą w danym razie najlepiej by służył Anatole France, również wyrafinowany amator-renanista. Ale mimowoli tych kilka uwag ciśnie się pod pióro, skoro mowa o samej genezie gatunku literackiego, którego świetnym okazem jest Lemaitre, a „duszą rodową" Renan.

To różnice są wówczas równie pouczające, jak i podobieństwa rodowe. Nietylko pozwalają one dokładniej zrozumieć pisarza, o którym mowa, lecz jeszcze rzucają trochę światła na nastrój psychiczny pokolenia, którego pisarz utalentowany jest lepszym przedstawicielem, niż pisarz genialny.

Juliusz Lemaitre, wyrafinowany znawca literatury, sceptyk, przejęty doktrynerstwem, umiarkowany przedstawiciel indywidualizmu w krytyce i idealizmu (z zastrzeżeniami) w sztuce — jest najznakomitszem wcieleniem najnowszego zastosowania zasady „złotego środka" w literaturze. Stanowisko jego pomiędzy krańcowymi obozami literackimi Francyi współczesnej, stanowisko ugodowe przez sceptycyzm i oportunistyczne przez temperament, jest niezmiernie typowe dla lewicy akademickiej naszych czasów. Jest może pewna doza jałowości w takiem stanowisku i dlatego może Lemaitre-artysta walczy trochę sam z sobą, nie przestając zresztą wątpić... Ale Lemaitre-krytyk, to idealny krytyk przewodnik wśród współczesnych, dla każdego, kto chce ich poznawać w charakterze turysty — i dlatego jest jak nieoceniony Baedeker modernizmu — wyrafinowany, wytworny Baedeker..

Jerzy Grot.

— Zwróciłem się do zbudowanego silnie mężczyzny z Vermontu—opowiadał doktór dalej, rysując końcem szabli wzorek na ziemi przed kominem.—Był on ciężko raniony, ale wyciągnął ręce do mnie i prosił, abym wprzód pomógł tym, którzy bardziej potrzebują pomocy niż on.. Początkowo nie zwracałem na to uwagi, bo tego rodzaju zaparcia się siebie spotykałem bardzo często w wojsku; lecz on prosił znowu:

— „Na miłość boską, doktorze, zostaw mię! Tam jest mały dobosz z naszego regimentu—prawdziwe dziecko jeszcze—i biedny umiera, jeśli już nie umarł... Uratował on więcej niż jednemu życie i dziś, mimo ogólnego popłochu na posterunku, ocalił honor pułku."

Cała istota tego człowieka robiła na mnie jeszcze większe wrażenie, niż jego słowa, potwierdzone z resztą przez kilku innych biedaków rannych, leżących naokoło mnie. Więc pośpieszyłem w miejsce, gdzie leżał mały dobosz ze swoim bębenkiem.

Rzuciłem tylko raz okiem na jego twarz i... tak Bob... tak moje dzieci... to był Ruprecht!

Doprawdy, mój kolega nie potrzebował robić krzyżyka kredą na desce, na której leżał chory, aby zaznaczyć groźny stan. I nie potrzeba było proroczych słów człowieka z Vermontu, nie potrzeba było aż patrzeć na zimny pot, który zmieszał się z czarnymi włosami chłopczyny przylepionymi do bladego czoła, aby zrozumieć, że tu wszelka pomoc była daremną. Zawołałem go po imieniu. Otworzył oczy—wydało mi się, jak gdyby zwiększyły się wobec nowego obrazu, jaki stanął przed niemi—poznał mię.

— „Cieszy mię—wyszeptał żeś pan przyszedł, ale nie sądzę, abyś zdołał co zrobić."

Nie mogłem kłamać przed nim. Nie mogłem wogóle nic powiedzieć. Ścisnąłem mu tylko rękę, a on ciągnął dalej.

„Ale nie prawdaż, pan odwiedzisz mego ojca i poprosisz go, aby mi przebaczył? Nikt nie zasługuje na naganę, więcej, niż ja... Długo trwało, nim zrozumiałem, czemu dano mi tego wieczoru wigilijnego bęben, czemu on co noc mię wołał, i co to wołanie znaczyło... teraz wiem... Moja praca już odrobiona i rad jestem... powiedz pan ojcu, że tak lepiej... Gdybym był został przy życiu, byłbym mu sprawił tylko troskę i smutek... Tak, tak, ja czuję, że tak lepiej!"

Przez chwilę leżał milcząc, potem chwycił moją rękę i rzekł:

„Słuchaj, pan!"

Słuchałem, lecz nie u słyszałem nic, prócz napół przytłumionych jęków rannych, leżących dokoła.

— Bęben! — wymówił słabym głosem. „Czy nie słyszy pan?... Bęben mię woła!"

Wyciągnął rękę ku miejscu, gdzie leżał bębenek, jak gdyby chciał go objąć.

— Czy nie słyszysz pan?—woła do wymarszu... Wojska stoją w szeregu... Czy nie widzisz, jak błyszczą w słońcu niezliczone bagnety?... Patrz, jak lśnią twarze żołnierzy... prezentują broń... generał przychodzi, ale nie mogę widzieć jego twarzy, bo wiele światła otacza mu głowę... Widzi mię... uśmiecha się... to—"

I z imieniem na ustach, które już przed laty zapamiętał, wyciągnął się znużony na swem twardem łożu i już się nie ruszał.

* * *

Tak, to już wszystko... A teraz bez pytań, wszystko jedno, co tam stało się z bębnem. Kto chrząka? Chcecie chusteczek do oczu?... Spokojnie, bo zaraz poszukam pigułek.

Tłom. z angielskiego *W. Bugiel.*

LITERATURA POLSKA.

Jan Zacharyasiewicz: *Chleb, Oryon i Chryzantema*. — Bolesław Prus: *Kroniki* (1875—78). — Michał Wołowski: *Błazen i artysta*. — Kazimierz Rojan: *Dla iskry bożej*. — Sewer: *Zalotnica, Zosia Żurawianka* i *Łusia Burłak* (nowele, wydanie drugie).

Ilekroć rodzice odświeżają nieco metryki przyjścia na świat dorodnych swych córek, tłomaczymy sobie niewinne to fałszerstwo patryotycznym zamiarem czemrychlejszego pozyskania dla nich mężów; mniej rozumiemy wydawców, gdy książkom, wytłoczonym w lipcu lub sierpniu 1895 r., podrabiać każą datę 1896 — jeszcze nie istniejącą i nie wiadomo, czy w wyrokach Opatrzności przeznaczoną do istnienia. Jeżeli w manipulacyi tej kryje się jakaś zasadzka, wpaść w nią, pomimo najlepszych chęci, nie zdołamy, posiadając wystarczający zapas materyału sprawozdawczego z roku bieżącego; o przyszłorocznych — pomyślimy dopiero wtedy, gdy dobra jego połowa zostarzeje i na czytanie zasługiwać już nie będzie.

Pierwsze miejsce niewyczerpanych dotąd w recenzyi płodów umysłowych roku 1895-go, przeznaczyć wypada dwom powieściom Jana Zacharyasiewicza: „Chleb" (Petersburg, u Grendyszyńskiego, str. 367), tudzież „Orion i Chryzantema, czyli romans XX wieku" (Warszawa, u Gebethnera i Wolffa, str. 187). Pierwsza w sposób poważny i zajmujący przedstawia dzisiejsze stosunki społeczne i państwowe w Niemczech, na których tle odmalowane zostały losy Witolda i Marty Lelewelów, szukających w Berlinie utrzymania, pracy lub stanowiska po sprzedaży rodowego majątku komisyi kolonizacyjnej. Treść drugiej sam autor, na odwrocie tytułowej kartki w tych słowach zaznaczył: „Powieść niniejsza powstała z wrażeń i obserwacyj w atmosferze Paryża i była drukowaną w odcinku K. W. pod tytułem: *Przy końcu wieku*" — dodać tylko należy, że nadsekwańskie te spostrzeżenia mają barwę sarkastyczno - humorystyczną, sprzeczną z naturą talentu twórcy takich arcydzieł, jak: „Na kresach," „Święty Jur," „Czerwona czapka," „Zakryte karty" itd. Chęć zajrzenia w oczy przyszłości przez szkiełka dowcipu i szyderstwa spłatała Zacharyasiewiczowi przykrego figla; należało pozostać przy pierwotnym tytule i planie, zobowiązującym jedynie do lekkiej i wesołej drwinki z przesolonej tegoczesnej praktyczności zawieranych nad Sekwaną małżeństw; przenosić ulotną prawdę tej charakterystyki doraźnej do wieku XX-go, jest to za wiele ufać sile swojego wzroku i swojej przenikliwości. Wiele jest poszlak, przemawiających za tem, że dzisiejsza kokietka paryska będzie za lat pięć całkiem już surową, świątobliwą matroną, wyłącznie zajętą dobroczynnością.

W ogólności, tegoczesny nasz humor pisarski, nastrojony na nutę czy to ironiczną, czy komiczną, zaciera się i pleśnieje szybko. Dowodem „Kroniki" Bolesława Prusa, zebrane obecnie w osobną książkę (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 416). Wczoraj jeszcze trzęśliśmy się od śmiechu na widok tych osób i sytuacyj — obecnie usta do poruszenia się zmuszać trzeba. „Oto obywatel ziemski. Ojciec jego miał trzy wsie, gospodarował na nich pańszczyzną i mógł wydawać kilkadziesiąt tysięcy rocznie — to też zaczopiały go na maskaradzie hrabianki. Syn ma także trzy wsie, lecz że nie umiałby gospodarować inaczej, jak tylko pańszczyzną, a na postępowem gospodarstwie nie zna się, prócz długów zatem nic nie posiada nic więcej. Hrabianki omijają go i ledwie że czasem jaka pokojówka zaczepi. Ponieważ jednak zubożały pan nie częstuje jej szampanem, opuszcza go więc niewdzięczna i biegnie do subjekta fryzyerskiego, który choć piwem ją ochłodzi" (321). Hrabianki, szampan, pańszczyzna, kilkadziesiąt tysięcy dochodu rocznego — z jakichże to wszystko epok, z jakich snów i przypomnień? „Jaki cel mają nasze wyścigi konne? — Poprawienie ras krajowych. I rzeczywiście, poprawia się rasa koni tak dalece, że niedługo żydzi wodę wozić będą samymi wyścigowcami. Jednocześnie zaś poprawia się rasa żokiejów, którzy wkrótce staną się tak cienkimi, jak ich szpicruty i posiadać będą tyle tylko inteligencyi, ile jej potrzeba do utrzymania się na siodle bez zwiększenia wagi. Wreszcie, poprawi się rasa widzów i dziś już bowiem trafiają się indywidua, które płacą za powóz rubli sr. dziesięć, za wjazd do hypodromu rubli sr. sześć, nadto zakładają się za tym lub owym suchotniczym koniem o kilkunastorublowe sumy, choć złamanej kopiejczyny nie pielęgnują przy duszy" (96). Cięte to, dobrze wymierzone i na razie skutkowało zapewne choć tyle, że ci, co w r. 1875 za powóz płacili rs. 10, onegdaj pieszo już udali się na giełdę i wrócili z niej wczoraj — jedni bez skarpetek, drudzy w pożyczonych rękawiczkach; cała ta wszakże mieszanina, skupiona z lat kilku na jedno miejsce, ma wygląd taki, jak gdybyśmy do najgłośniejszego na Krakowskiem Przedmieściu magazynu nowości ściągnęli z Nalewek wszystkie fraki i kamizelki, w których ojcowie nasi tańczyli niegdyś na weselach. Strzelać do bucików na wysokich korkach, kiedy panie nasze w grudniu wychodzą na ulicę w płaskich pantofelkach, lub obcinać pewne wydętości stroju poniżej stanika, kiedy pagórki te przeniosły się na ramiona — spóźniona to taktyka, przeżyta moralność. Znaczenie i doniosłość tych pocisków nie dadzą się oderwać od zdarzeń konkretnych i chwil, w których powstały i z których powodzenie ich urosło; pewne zasługi działalności pisarskiej i obywatelskiej świadczą o sobie tylko tam i wtedy, gdzie i kiedy się urodziły.

Ruchliwszemi bez porównania są zalety „Błazna i artysty" Wołowskiego (Warszawa, nakł. Ga┬anowskiego, str. 271). Masa konceptów najrozmaitszego kalibru i autoramentu wierci się tu około filozoficznego postulatu, wygłoszonego dopiero pod koniec książki przez niejakiego Kropińskiego o niejakim Cygańskim w tych słowach: „Błazen, ot nie więcej, tylko błazen, i dlatego mu dobrze na świecie." Demonstracya pewnika odbywa się na personelu trupy teatralnej miasteczka Ypsylonowa w Galicyi, przyczem jednakże autor, rozporządzający obfitym zasobem scenicznego uwydatnienia, raz po raz wysuwa głowę z za kulis celem wzmocnienia w widzach przekonania, że w społeczeństwie naszem każdą sławę i każdą niesławę „wydmuchać" łatwo. Przykłady na to są liczne i w wielu razach zabawne, ale możnaby je było uczynić jeszcze zabawniejszymi, włożywszy kąśliwe te złorzeczenia i wycieczki przeciwko wydmuchiwaniu w usta rzetelnie „wydmuchanego." Wielkie społeczne stanowisko błazna zostałoby tym sposobem podniesione do potęgi artystycznej, a nowa wielka synteza przybyłaby piśmiennictwu. Prawda, że widownia jest na takie odkrycia za ciasną i za mało interesującą. Kilku biedaków z ostatnich szeregów proletaryatu umysłowego, łączących się wzajemnie o jakieś sto lub dwieście idealników w srebrze, większą budzi litość, niż wzgardę. Niesmak, wyładowujący się z tego powodu, łagodzą przecież tu i owdzie obrazki rodzajowe, z których kilka stanąćby mogło do porównania z wyśmienitą z tegoż teatralnego świata nowelką Niedźwieckiego „W drodze,"—w jego zbiorku p. t. *Grzech* (str. 57—77). O tonie, w jakim małomiejska ta historya została opowiedzianą i o indywidualnej wartości „błazna," któremu z tytułu jego błazeństwa „dobrze jest na świecie," powziąć można niejakie wyobrażenie z następującej charakterystyki: „Cygański objął ster nawy teatralnej w Ypsylonowie. Z przekonaniem, że tylko rozpychając się łokciami, można coś zrobić, sprytny ten błazen używał nietylko łokci, ale i kułaków. Że tam ktoś sińce miał na boku, czy zgruchotane żebro, co jego mogło obchodzić?... Zawsze z uśmiechem na twarzy, konceptem na języku, żartem, słowem, w każdym czasie, miejscu i przestrzeni brał wszystkich po kolei — zwyciężał, a kiedy już zwyciężył, to dla ofiary swego tryumfu był nieubłaganym. Nikczemna to zresztą była dusza z gruntu. Zła dla samej złości" (str. 297—298). Niedźwiecki dosadnych takich wyrażeń nigdy nie używa, a mimo to malowidło jego nie przestaje wywierać silnego wrażenia; w sztuce probierz to niemylny.

Kazimierz Rojan jest prawdopodobnie jednego z nami zdania pod tym względem, skoro pierwszy paragraf piątej części jego „Dla iskry bożej" (Warszawa, u Paprockiego, str. 416) zaczyna się od ślicznej metafory rumaka na stopie. Rumakiem jest myśl twórcza, jeźdźcem — pisarz. „Dopóki jeździec trzyma cugle w ręce i czuje, że za ich pomocą ujarzmi szlachetne zwierzę w każdej chwili gdy zechce, dopóty jest jeszcze samym sobą, a panem rumaka; lecz niechno raz rączy bachmat wpadnie w szał i zacznie go unosić, wówczas... człowiecze marny!... jesteś najnędzniejszym niewolnikiem stworzenia *bezrozumnego* (? to jest, niby myśli?), daremnie dobywasz sił ostatka, daremnie przyzywasz w pomoc męztwo, spokój, odwagę i wszystkie zalety rozumu — zwierzę już cię nie osłucha: przed tobą ciemność i rozpacz, a za tobą zdziwione oczy tych, co cię przypadkiem dojrzeli" (191). Z największą przyjemnością zaznaczamy, że autor ani razu rumakowi swemu cugli nie popuścił, trzymał go owszem tak silnie i zwięźle na wodzy, że od początku do końca szedł stępa, równo, gładko, karnie, sfornie. Niejaką senną monotonność tętentu słowa, wypływającą z czujności i panowania nad myślą, ażeby się nie rozgalopowała zbytnio, lecz szła „według woli w prawo i lewo," zatrzymywała się w miejscach wskazanych i nawet „zasypiała" tam tylko, gdzie z marszruty wypadło — monotonność tę z nadmiarem opłaca cel podróży, ostatni jej etap, intencya — czyli dążność powieści, która jest ze wszech miar zacną, szlachetną, godną uznania i naśladowania. Obejmuje ona jednak zbyt rozległe zakresy życia społecznego. Uczy w jednym ustępie, jak się tworzą nowele, w drugim — jak powstają fabryki produktów chemicznych; w streszczeniu zaś, hasłem jej: tytuł powszechnie znanego scenicznego utworu J. A. Święcickiego, „O własnej sile."

Trzy nowele Sewera: „Zalotnica," „Zosia Żurawianka" i „Łusia Curlak," nie należą właściwie do bibliografii tegorocznej, ukazują się bowiem obecnie w wydaniu *drugiem* (Lwów, u Jakubowskiego i Zadurowicza, str. 236), napisane zaś zostały pierwsza w r. 1891, druga w 1878, trzecia w 1877. Poprzedza je przedmowa dr. Piotra Chmielowskiego, zawierająca ocenę dotychczasowej literackiej iściny autora „Przybłędów," „Zyzmy," „Biedroniów" itd. Jest to powtórzenie pracy sz. naszego krytyka o Sewerze z drugiego tomu dzieła „Nasi powieściopisarze" (str. 303—344) — i dziwi nas trochę, że w drugiem wydaniu tak popularnych, poszukiwanych nowel wydawcy nie uczynili o tem wzmianki. Nie zmniejszyłoby to rozgłosu Sewerowi, a przyczyniłoby się może nieco do rozpowszechnienia dzieła Chmielowskiego, a wraz z niem i do ugruntowania wśród publiczności naszej wyobrażeń o zasadach krytyki naukowej.

J. T. Hodi.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Towarzystwo muzyczne do szeregu występów solowych dało nam przez dwa wieczory z kolei popisy zbiorowe. Mieliśmy głośne trio (d. 4 b. m.), złożone z pp. Grünfelda (wiolonczela), Pauera (fortepian) i Zajica (skrzypce), oraz niemniej słynny czeski kwartet smyczkowy (d. 11 b. m.), na który składają się pp Hoffmann (1-e skrzypce), Suk (2-e skrzypce), Nedbal (altówka), Wihan (wiolonczela).

I jeden i drugi „komplet" znany jest publiczności tutejszej z kilkakrotnych występów; pośpieszyła zatem ona tłumnie do sal Redutowych po wrażenia, jakie nieczęsto w dziedzinie muzycznej przypadają jej w udziale. Każdy z uczestników tria i kwartetu jest doskonałym artystą, mogącym mieć świetne powodzenie w popisach solowych. Nie więc dziwnego, że takie siły pojedyncze zdołały stworzyć znakomite ciało zbiorowe. Wirtuozi są tak idealnie „zgrani" — wyrażając się technicznie — że chwilami zdaje się, iż to jeden jakiś fantastyczny instrument wydaje takie różnorodne tony.

Trójca wykonała dwa „Tria" — Mendelssohna (C-mol) i Rubinsteina (G-dur), jakby pragnąc siłą kontrastu istoty tych utworów spotęgować wrażenie artystycznego wykonania. Gdy bowiem Mendelssohn przemawia szeroką melodyą, płynącą z niesłychaną swobodą, rozmarza romantyzmem motywów, porywa werwą — z utworu Rubinsteina bije żywiołowa siła namiętności, nastrajająca dramatycznie. Twórca „Pieśni bez słów" równy udział przeznaczył instrumentom — jeden jest dopełnieniem drugiego, żaden „prymu" nie trzyma. U Rubinsteina lwia część przypada fortepianowi. Artyści wniknęli najzupełniej w ducha obu kompozycyj i oddali myśli twórców po mistrzowsku.

Nie poprzestając na tym popisie zbiorowym, uczestnicy tria wystąpili też jako soliści. P. Grünfeld jest jednym z najlepszych obecnych wiolonczelistów, a sławę swoją potwierdził zarówno wykonaniem „Aryi" Bacha, jak lżejszego zakroju utworów Moszkowskiego i Gabriel-Marie. Grę fortepianową p. Pauera cechuje powaga, niepospolita technika, a nadewszystko niesłychana lekkość i powiewność dotknięcia, uwydatniająca się znakomicie w zagranym nad program „Kaprysie" Mendelssohna. P. Zajic — to skrzypek stworzony na tłomacza repertuaru klasycznego. Nie ma w jego grze nic zrobionego na popis, nie ma pogoni za błyskotliwymi efektami — charakteryzuje ją wielkie skupienie ducha, ton głęboki, umiarkowanie i prostota. Szkoda tylko, że artysta obok „Romansu" (G-dur) Beethovena postawił „Poloneza" Wilhelmi'ego, który przedewszystkiem z polonezem nie ma prawie nic wspólnego.

Program artystów czeskich obejmował trzy kwartety: Beethovena (F-dur), Bendla (F-dur) i Schuberta (pośmiertny). Była to od początku do końca prawdziwa uczta artystyczna, mogąca przerobić najzaciętszych wrogów muzyki pokojowej na zagorzałych jej zwolenników. Gdybyśmy się nie obawiali być posądzonymi o przesadę, w którą wpaść można, niestety, tak łatwo i niepostrzeżenie, powiedzielibyśmy, że śpiewał flet, zawodziły głosy ludzkie, odzywały się dźwięki trąb, rozbrzmiewała w sali cała fala najrozmaitszych dźwięków, a słuchacze zdumieni wpatrywali się w estradę i uwierzyć nie mogli, że mają przed sobą tylko cztery instrumenty smyczkowe. *Allegro* z kwartetu Beethovena i *Andante* z kwartetu Schuberta, z waryacyami osnutemi na temat pieśni „Śmierć i dziewczyna," były punktem kulminacyjnym otrzymanych tego wieczora wrażeń.

Zapoznali nas artyści czescy z utworem ziomka, p. Bendla, kompozytora w ojczyznie swojej podobno bardzo znanego. Jeżeli p. Bendl będzie miał dla wszystkich swoich utworów takich, jak dla „Kwartetu," wykonawców, może stanowczo liczyć na powodzenie. Tacy wirtuozi obałamucają słuchacza, który pod wpływem mistrzowskiej interpretacyi dzieła traci jasność sądu o jego istotnej wartości. Niemniej przedstawił się p. Bendl jako muzyk wytrawny, obeznany doskonale ze stroną techniczną kompozycyi i umiejący ją wyzyskać. Zdawało nam się tylko, że „Kwartet" trzymany jest raczej w stylu operowym. niż kameralnym; dosłuchaliśmy się w nim zupełnie po wagnerowsku przeprowadzonych motywów i *recitativ*, jakby dla sceny napisanych.

Nielicznych ma dzisiaj zwolenników harfa; instrument to niezbyt wdzięczny, bo trudny bardzo do opanowania, a przytem za mało nowoczesny. Ubogą jest też literatura harfowa; jednego posiada klasyka — Paris-Alvars'a, a harfiści-wirtuozi muszą się zadawalać drobnymi utworami lub przeróbkami z kompozycyj fortepianowych. Przedewszystkiem więc artysta, poświęcający się harfie, budzi zaciekawienie, gdy zaś wirtuozostwo swoje posunie do tego stopnia, co p. Kastner, który d. 14-go b. m. wystąpił z koncertem w Resursie Obywatelskiej — wprawia słuchaczów w niekłamany podziw. Oprócz nieodzownego Parish-Alvars'a (Allegro z koncertu z towarzyszeniem fortepianu) miał koncertant w programie swoim takie dzieła, jak „Adagio" z sonaty „księżycowej" Beethovena, „Nokturn" Chopina, „Pieśń bez słów" Mendelssohna, które wyszły z pod palców jego tak znakomicie wykonane. że powtarzać sobie trzeba było, iż słyszy się nie akordy i tony fortepianowe, lecz dźwięki strun harfowych.

Oprócz p. Kastnera wzięli udział w koncercie: p. Wasserstromówna, młoda fortepianistka, posiadająca wcale dobrze już wyrobioną technikę i ładne uderzenie; p. Rotmühl, śpiewak, obdarzony pięknym głosem, o czysto tenorowem brzmieniu, który należałoby kształcić; wreszcie monologista, p. Zawadzki.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

— Dla dzieci: *Śliczne ptaszęta* (nakład T. Paprockiego). Skutkiem niewłaściwego połączenia wierszy polskich z obrazkami niemieckimi, wyszła rzecz dziwna: ptaki obce są ganione, a swojskie chwalone — bezimiennie. Po co było umieszczać pierwsze i czemu nie pomianować wszystkich? Natomiast inna książka dla dzieci, p. t. *Walek*, opowiadanie fantastyczne J. Chrząszczewskiej, z rysunkami Alchimowicza (nakład Sennewalda), jest wytworem swojskim i ozdobnym. Do literatury dla młodzieży zaliczyć również trzeba *Wyspę tajemniczą* J. Verne'a, przekład J. Belejowskiej (str. 544, Sennewald). W utworze tym występują wszystkie właściwości pomysłów autora.

— Związek literatów postanowił w Krakowie wydawać własne pismo miesięczne p. t. *Przegląd literacki*.

— We Lwowie pod redakcyą p. Kuczalskiej-Reinschmit zaczęło wychodzić pismo dwutygodniowe p. t. *Ster*, poświęcone sprawom kobiecym.

— Redakcya *Izraelity* ogłosiła konkurs na powieść obyczajową, której tłem mają być stosunki krajowe. Nagroda rs. 200. Ostateczny termin nadsyłania prac 1 lipca 1896 r.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 15 grudnia.

Przerwa tygodniowa, wywołana wyborami w Czechach i kilka nietaktów, popełnionych przez opozycyę antisemicką, wpłynęły uspokajająco na parlament. Przybrał on swą codzienną znudzoną fizyognomię. Okoliczność ta pozwala nam swobodniej zwrócić się do faktów z życia niepolitycznego.

Z pomiędzy znacznej ilości mniej lub więcej ważnych zjawisk należy przedewszystkiem uwzględnić zmianę, jaką wprowadziła w życie wszechnica wiedeńska. Są to wykłady popularne.

Idea wykładów takich nie jest nową. W Danii istnieją kursy uniwersyteckie, przeznaczone dla szerszych mas zawodowo pracującej ludności; od roku czterdziestego Anglia, szczególnie zaś Ameryka, szczycą się znaczną ilością nadzwyczaj licznie uczęszczanych wykładów, Austrya i Niemcy zadawalały się dotychczas towarzystwami oświaty i czytelniami publicznemi.

Towarzystwa te okazały się jednak nieodpowiadającemi celowi. Zarzuciły one szybko swój pierwotny popularno-naukowy charakter i stały się towarzystwami politycznemi, działającemi w interesie pewnego stronnictwa. Nietolerancyjność dla wszystkiego, co nie odpowiadało zapatrywaniom partyi i połączona z tem jednostronność stała się ogólną cechą tych korporacyj. Szczególnie liczne są towarzystwa popularno-naukowe, należące do partyj robotniczej.

Więcej niezależnemi pozostały czytelnie. Wiedeńskie szczycą się znaczną liczbą czytających i dobrem urządzeniem; nie są one jednak w stanie zastąpić żywego słowa, tem bardziej zaś doświadczenia naukowego.

Kursy popularne uniwersyteckie powinny usunąć braki towarzystw oświaty. Zostając pod bezpośredniem zawiadywaniem senatu uniwersyteckiego, podlegają mniej wpływom życia politycznego; złożenie zaś wykładów w ręce profesorów i docentów, daje im tę cechę naukowości, jakiej nie mogą posiadać lekcye popularne towarzystw oświaty.

Z planu widać, iż uniwersytet nie ma zamiaru kłaść nacisku na jakąkolwiek grupę przedmiotów. Uwzględniono są zarówno nauki przyrodnicze, jak i historya, literatura, itd. Do słuchania upoważnia wiek wyższy, niż lat 18 i wniesienie wpisowego w ilości 50 centów.

Uniwersytet dokłada 6000 zł. Zamknięta obecnie lista pierwszego cyklu wykazuje przeszło 2½ tysiące słuchaczów płci obojej. Największą ilość posiada anatomia (440); nauki przyrodnicze więcej, aniżeli humanistyczne.

Na porządku dziennym stoi także inna sprawa uniwersytecka: dopuszczenia kobiet do studyów. Stała się ona bieżącą w Austryi już wskutek tego, iż kliniki wykazują dość pokaźną cyfrę słuchaczek nieurzędowych, a zainteresowała szersze koło publiczności, dzięki wystąpieniu prof. Albert'a. Uczony ten dowiódł przedewszystkiem znanego faktu, iż niema takiego głupstwa, którego by nie mógł popełnić profesor niemiecki.

Oto przykład: twierdzi on poważnie, iż cała kultura tegoczesna jest jedynie rezultatem pracy męzkiej. Kobieta to istota bierna, uczuciowa, niezdolna jest do pracy produkcyjnej... Broszura wywołała odpowiedź i polemikę, sprawa przeszła do par-

lamentu, obecnie zaś Izba lekarska postanowiła starać się o udzielenie kobietom prawa słuchania wykładów, jako studentkom na wydziałach prawnym, medycznym i filozoficznym. Zważywszy, iż Węgry świeżo dopuściły kobiety do uniwersytetu, mniemać należy, że ostatecznie i w Austryi kwestya ta zostanie rozwiązaną w duchu pożądanym.

Przejdźmy do zakładów niższych. Tutaj zapisać trzeba fakt pomyślny, iż Galicya w ostatnim roku wykazuje największy wzrost uczniów w gimnazyach. Czy jednak zjawisko to będzie stałem?

Pod względem oświaty ludowej Galicya zajmuje stale ostatnie miejsce. Jaskrawe światło pod tym względem rzucają następujące cyfry. Wydatki na jednego ucznia szkoły ludowej kosztują w Austryi Dolnej 20 złr., w Czechach 15, Morawii 14, Salzburgu 14, Austryi Górnej 14, na Szlązku 14, w Styryi i Karyntyi 17, Tyrolu 11, Dalmacyi 7, w Galicyi i Bukowinie 6 złr. rocznie. Natomiast posiada Austrya Dolna 6,2% analfabetów, Galicya zaś — 68%.

Cyfry te ilustrują także stan materyalny gmin galicyjskich, gdyż szkoły ludowe są przeważnie przez nie utrzymywane.

Na zakończenie jeszcze jeden punkt, dotyczący Galicyi. Koło polskie postanowiło wnieść projekt, regulujący emigracyę do Ameryki. Jak daleko jednak od słowa do czynu, to pokaże przyszłość. W każdym razie należy przypuszczać, iż dotychczasowe traktowanie emigrantów ze strony urzędników zmieni się na lepsze, przynajmniej co do wydawania paszportów.

Dzięki wpływom Stanczyków, władze w Galicyi starały się wstrzymywać emigracyę. Nie wydawano paszportów wtenczas, gdy chłopi, wyprzedawszy się z gruntów i ruchomości, gotowi byli do drogi. Jeżeli emigrantowi udawało się pokonać tę przeszkodę, stawał się on łupem różnorodnych agentów i często bardzo przybywał bez środków na granicę Włoch. Obecnie stan rzeczy zmienił się o tyle na lepsze, iż Włochy urzędownie postawiły warunki, od których zależy swobodny przejazd emigrantów do Genui; w Galicyi Towarzystwo św. Rafała podjęło na nowo swą działalność, której celem jest obrona wychodźców od wyzysku i skierowywanie ich do miejscowości dogodnych. Nakoniec rząd austryacki ma założyć w stanie Parana (w Brazylii) konsulat, któryby służył interesom emigracyi.

D. M.

LIBERUM VETO.

Potrzeba gadania, jako własność swojska. — Długie rozprawy o domu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. — Dwa projekty, z których żaden nie jest wątpliwym. — Ceny obrazów i wystawa szkiców.

Dziwi mnie bardzo, że autor „Fizyki bez przyrządów" nie pomieścił w niej następującego, bardzo prostego a ciekawego doświadczenia.

Jeżeli cię napadnie, czytelniku, jakaś nowa myśl i wypowiesz ją w towarzystwie ludzi inteligentnych, z pewnością twój najbliższy sąsiad rzeknie: „A tak," inni kiwną głowami lub wtrącą: „To zależy, proszę pana," a gospodyni domu z uśmiechem Cerery zaproponuje: „Może jeszcze kawałek indyka." Z tych objawów przekonasz się, że twoja myśl nie uczepiła się nawet na chwilę niczyjego mózgu.

Ale ona cię prześladuje i dopomina się upowszechnienia. Wtedy zaczynasz ją owym ludziom inteligentnym rozwijać... Słuchają uważniej, niż poprzednio, przyczem dają ci nawet słowa uznania: „Tak, tak, święta prawda" — „Maniu, nie przeszkadzaj" — półgłosem do służącej: „Samowar zimny." Pomimo tych dowodów uwagi ostatecznie przekonywasz się, że twoja myśl zapukała do głów słuchaczów, one jej odpowiedziały: „entrez," ale się nie otworzyły. Ty jednak koniecznie chcesz ją do nich wprowadzić, więc wykładasz innym razem jeszcze szerzej. Wówczas znajdujesz nietylko uważnych zwolenników, ale nawet zawziętych przeciwników. Nareszcie cię wysłuchano i zrozumiano. Z tego doświadczenia wyciągasz wniosek: dusze nasze mają tę własność, że przyjmują nową myśl tylko bardzo rozcieńczoną w roztworze słów. Dlatego narodową formą literatury jest u nas *gawęda*, dlatego najchętniej czytamy powieści rozwlekłe, dlatego piszemy obszerne sprawozdania z widowisk teatralnych, dlatego o każdym przedmiocie tem dłużej rozprawiamy, im on mniej zawiera wątpliwości. Znamionuje to ludzi niezdolnych lub nieprzywykłych do czynu, który nie znosi zbytecznej gadaniny.

Towarzystwo Zachęty sztuk pięknych zapragnęło wybudować sobie siedzibę własną i skończyć kłopotliwą tułaczkę po cudzych. Zamiar ten był bardzo rozumnym i wszystkimi względami usprawiedliwionym, ale i on musiał przejść próbę długoletniego gadania. Rozprawiano więc naprzód szeroko i głęboko: czy Towarzystwo potrzebuje mieć swój dom, czy też nie. Przez morze słów przepłynęła wreszcie uchwała, że — potrzebuje. Zaczęto zbierać pieniądze i przytem — rozumie się — dużo gadać. Nareszcie zgromadzono pewien fundusz — należało pomyśleć o planie. Z długiego gadania narodził się i plan. Teraz przyszła kolej na wybór placu i odtąd ciągnie się po wszystkich pismach peryodycznych nieskończona gadanina, której końca nie widać. Dotychczas bowiem mierzą się groźnym wzrokiem dwa nieprzejednane stronnictwa, z których jedno żąda nabycia własnego placu, drugie zaś — przyjęcia od magistratu darowizny warunkowej, mianowicie kawała skweru przy ulicy Królewskiej, na którym Towarzystwo może wystawić swój dom i posiadać go na tem miejscu dopóty, „dopóki istnieć będzie." Zwolennicy własności bezwzględnej straszą je rozmaitemi możliwościami, z których najgroźniejszą ma być ta, że „miasto" kiedyś powie: panowie malarze, bądźcie łaskawi uprzątnąć swoją kamienicę, bo jej plac jest „nam" potrzebny na co innego. Ażeby zrozumieć wagę tego argumentu, musimy bliżej określić sobie: co to jest „miasto," które może kiedyś dopuścić się takiej niegrzeczności, czyli — musimy trochę o tem niebezpieczeństwie... pogadać. Jeśli się nie mylę, miasto jest to zbiorowa własność pewnej przestrzeni gruntu i wzniesionych na nim budynków, należąca do jego obywateli i instytucyj. A co to będzie dom Towarzystwa zachęty sztuk pięknych? Będzie to również zbiorowa własność, należąca do tych samych ludzi, którzy są posiadaczami terytoryum miasta. Pytam więc: jaka sprzeczność interesów zachodzi między temi dwiema zbiorowościami i z jakich pobudek może się wytworzyć taka między niemi nieprzyjaźń, ażeby obywatele m. Warszawy kazali zburzyć dom obywateli m. Warszawy, dom, postawiony na placu przez nich darowanym z tym tylko warunkiem, że ma on służyć zawsze do pierwotnego swego użytku? Bo jeżeli on nawet nie będzie instytucyą ściśle magistracką, to w każdym razie będzie miejską. Przypuścić więc, że pewnego brzydkiego poranku magistrat każe wynieść jej mury ze swego placu — jest to przypuścić, że nastąpi wypadek przeciwny zupełnie prawu, logice i popędom ludzi cywilizowanych. Rzeczywiście, Towarzystwo będzie ograniczone w swem posiadaniu. Nie będzie ono mogło rozwiązać się i wynająć swego domu na kawiarnię lub resursę. Ale jeżeli zachodzi wątpliwość, czy wielomilionowy kraj i półmilionowe miasto zdołają utrzymać jedną galeryę obrazów, to byłoby daleko roztropniej nie budować dla niej domu, gdyż ona widocznie jest tylko zadowoleniem naszego krótkotrwałego kaprysu. Nie będzie ono mogło dalej zaciągnąć pożyczki Towarzystwa kredytowego, ale ponieważ oszczędza sobie znaczny wydatek na kupno placu, więc ubytek wyrówna się zyskiem. Słowem, wyłączywszy potrzebę długiego gadania, nie widzimy powodu do przeciągania rozpraw nad kwestyą: co zrobić? Przyjąć plac od magistratu i wybudować na nim dom.

Mam nadzieję, że do swej nowej świątyni jej kapłani wprowadzą nowe obyczaje, a między innemi i taki, ażeby u spodu obrazów nie pisać cen, które nakładane są zwykle na arcydzieła i których nie płaci żaden nabywca. Owe 500 lub 1,000 rublowe karteczki na ramach widoku skały tatrzańskiej lub wesela chłopskiego, namalowanego, jak Bóg dał, powinnyby zniknąć. Naprzód bowiem są one śmieszne, powtóre — odstręczają publiczność od kupna, potrzecie — szkodzą interesom artystów. Dzięki tym łatwym do napisania a trudnym do zapłacenia sumom, społeczeństwo nie nabywa obrazów, a malarze — po za szczupłem kołem najznakomitszych — nie mają z czego żyć. Od tej tradycyi odstąpił już Salon Artystyczny, który podaje ceny bardzo przystępne dla ludzi średnio zamożnych i dlatego podobno sprzedaje dużo. W tej chwili odbywa się tam wystawa szkiców — dosyć zresztą uboga, bo zwolennicy czeków na setki i tysiące rubli, które całemi latami daremnie wyglądają zrealizowania, nie chcą się zniżać do utworów tanich. Ile razy wszakże pojawi się wartościowy a niedrogi, natychmiast znajduje nabywcę. Wszystkie skargi i oburzenia artystów nie pomnożą środków pieniężnych ogółu, który pozostanie nadal niezamożnym: jeżeli więc on ma kupować obrazy, muszą oni zastosować się w swych wymaganiach do jego zasobów. Konieczność ta złamała już niejeden opór. Średniej miary pisarz teatralny za granicą dostaje za odegraną wielokrotnie komedyę dziesiątki tysięcy franków, u nas nawet najbardziej utalentowany — 100 rs. od aktu i musi być zadowolonym. Opowiadają, że Dumas pozostawił olbrzymi majątek w tantyemach od swych sztuk; gdyby żył i umarł w Warszawie, nie pozostawiłby nic, bo żadna tantyema nie istnieje. Więc nietylko malarze cierpią skutki ubóstwa społecznego.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Wielkie ognisko przemysłu i handlu doświadcza może bardziej niż inne miejscowości, charakterystycznego przekładania dostawy kołowej nad kolejową. Transport bawełny, sprowadzanej przez Ostrów na osiach, o wiele tańszy niż za pośrednictwem kolei Wiedeńskiej i Łódzkiej, pomimo że taryfa na owe produkty jest już znacznie zniżona.—Czasowo wprowadzono wagony osobowe dla przewożenia pasażerów z Warszawy do Łodzi bez przesiadania. Dziwić się należy, że pomimo nadzwyczaj ożywionego ruchu podróżnych między temi dwoma ogniskami, dotąd nie uwzględniono potrzeb ogólnych i nie wprowadzono stałych pociągów. Dziś jazda do Łodzi w stosunku do niewielkiej przestrzeni pochłania dużo czasu i jest nadzwyczaj niewygodna z powodu przesiadania i oczekiwania na ciasnym dworcu stacyi Koluszki.

Radom. Kasa przemysłowców miejscowych stara się o własny gmach. W tym celu ogłoszono i rozstrzygnięto już konkurs. Z czterech prac nadesłanych dwie odrzucono, z pozostałych przyznano nagrodę (rs. 200) jednej, opatrzonej dewizą: „emblematy mularskie na tarczy." Dru-

gą pod godłem „Dołęga," postanowiono zalecić komitetowi kasy do nabycia na własność za 100 rs. Autorem pierwszej pracy jest p. August Załuski, budowniczy z Radomia, drugiej—p. Stefan Lamparski, budowniczy powiatu radomskiego.—Świeżo mianowany gubernator radomski, rz. r. st. Podgorodnikow, obejmuje swoje stanowisko 27 b. m.—Uchwalono codzienne bezpłatne wykłady rysunku technicznego tudzież początków nauk przyrodniczych dla praktykantów rzemieślniczych i fabrycznych. Na ten cel przeznaczono rocznie rs. 440, z warunkiem otrzymania w całej rozciągłości ustawy cechowej z r. 1816. Lekcye to odbywać się będą wieczorami w gmachu gimnazyalnym. — Ustawę stowarzyszenia śpiewaczego, „Lutnia," przesłano władzy odpowiedniej do zatwierdzenia.

Sosnowice. Otwarto szpital, należący do miejscowego towarzystwa kopalni węgla i zakładów hutniczych, utworzony z funduszów, kasy bratniej pomocy robotników bolesławsko-sosnowickich kosztem 80,000 rs. Gmach, ten zbudowany według najnowszych wymagań techniki i hygieny posiada 72 łóżka, trzy sale większe (na 16 łóżek), 2 mniejsze, sześć pokojów t. z. „izolacyjnych" i dla ciężko chorych. Obok każdej sali znajduje się pokoik dla posługacza z kuchenką podręczną. Nadto przylegają pomieszczenia z wannami i umywalniami. Korytarze obszerne zaopatrzone w ławki dla chorych, zdolnych do przechadzek, wreszcie na każdem piętrze werenda. W salach wszystkie piece wentylacyjne. Zużyte powietrze wchodzi do kanałów w murach pod wpływem ciepła lamp tudzież pod działaniem piecyków w suterenach. Dwie studnie dostarczają wodę, wydobywaną siłą lokomobili i podnoszoną na wysokość 20 metrów do zbiorników żelaznych. Mniejszy z nich ogrzewany jest parą. Sala operacyjna z obfitem górnem i bocznem oświetleniem, z gładkiemi ścianami o kątach zaokrąglonych, z murami, doprowadzającymi parę, wodę zimną i gorącą wreszcie destylowaną. Opatrunkowa posiada szklaną szafkę do narzędzi. Obie sale zaliczyć można do wzorów nie tylko dla prowincyi, ale i Warszawy. Zakład ten powstał dzięki staraniom byłego dyrektora Towarzystwa, Jana Sarzyckiego.—Huty cynkowe w Dąbrowie Górniczej, oddane w dzierżawę na lat 60 Towarzystwu Derniz, Pomerancow i Lewcow, eksploatować zamierza spółka francuzsko-rosyjska, która tworzy się obecnie.

Petersburg. W Japonii utworzony będzie urząd rosyjskiego agenta wojennego z miejscem zamieszkania w Tokio. Dwu jego pomocników osiądzie w Czifu (*Chifoo*) i Seulu na Korei.—Do. 20 b. m. Petersburgu rozpoczyna posiedzenie komisya specyalna, złożona z przedstawicieli kontroli dochodów w sprawie opracowania zniżonych taryf osobowych na czas wystawy wszechrosyjskiej w Niższym-Nowogrodzie.—Według doniesień gazety *Swiet*, w Królestwie Polskiem i guberniach zachodnich powstaje tysiąc punktów meteorologicznych.—W Moskwie zgromadzenie gubernialne ziemskie przeznaczyło jako kapitał obrotowy dla drobnych przemysłowców miejskich 35,000 rs. na utrzymanie Muzeum drobnego przemysłu wiejskiego i warsztatów.

Odesa. *Swiet* zapewnia, iż wkrótce utworzona będzie nowa gubernia czarnomorska z ogniskiem w Noworosyjsku — *Odesk. Now.* zamieścił list rolnika żydowskiego z kolonii „Ginzburg" prowincyi „Entrerios:" „Czuję się nader szczęśliwym bo niczego mi nie brak. Zarząd naszej kolonizacyi przekonał się, że jesteśmy pracowici i pilni to też dodał jeszcze każdemu z nas kawał ziemi, studnie, inwentarz i narzędzia rolnicze. Każdy z nas posiada już obecnie spory kęs gruntu, osiem par wołów, 14 koni, 4 krowy dojne, wozy, pługi, brony, żniwiarkę itd. Uiścimy się tedy wkrótce z długów i zostaniemy zamożnymi gospodarzami. Naokoło siebie widzę tylko ruch i życie. Wychodzę w pole, zachwycam się ślicznym widokiem bujnych kłosów, własnemi rękami zasianych, trzoda i woły pasą się na zielonej łące, krowy dostarczają mleka obficie, a jagnięta skaczą na dobrem pastwisku. Co prawda, pracujemy w pocie czoła, ale nadzieja nam dodaje otuchy i siły. Pomimo to nie brak tu i niezadowolonych są to ludzie, którzy zajmowali się w domu komisonerstwem, faktorstwem żyli głównie z szacherki. Tacy nie mogą się i tu przyzwyczaić do regularnej pracy i mozolnego życia; oni to skarżą się ciągle, pisują zażalenia na zarząd, że doznają krzywd, że kontrakty nie dobre itp."—Kasyer agencyi rosyjskiego Towarzystwa żeglugi parowej, Piotr Malte, roztrwonił z powierzonych mu rozmaitych funduszów sumę 40,000 rs. i umknął. Podejrzany o współudział w przeniewierstwie buchhalter agencyi, Nałepiński, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru.—W radzie miasta Symferopola zdarzył się niebywały wypadek odwołania dwu posiedzeń z powodu nieprzybycia członków. Sprawy rachunkowe, przeznaczone na posiedzenie listopadowe, oddane do uznania gubernatora.—W poczcie, przybyłej na statku Towarzystwa rosyjskiego „Olga" wykryto kradzież korespondencyi pieniężnej z Tyflisu, oraz wszystkich dokumentów.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRODUKCYA ZBOŻOWA, JAKO PODSTAWA TARYF.

I.

Prawie przed rokiem p. Adolf Suligowski wygłosił w głównem Towarzystwie przemysłu i handlu odczyt o potrzebie uregulowania taryf, zgodnie z wymaganiami przemysłu i handlu rolnego. O ogólnych wnioskach i obliczeniach autora pisaliśmy wtedy natychmiast po rozpatrzeniu sprawy w Petersburgu. Obecnie mamy przed sobą tę pracę, wypuszczoną przed kilkunastu dniami z pod prasy*), znacznie uzupełnioną zobrazowaniem szerszych warunków ekonomicznych w tej mierze. Znajdujemy tu wiele rzeczy nowych, które właśnie dają nam możność rozpatrzenia grupy zjawisk i potrzeb, służących za podstawę stworzenia innych zasad taryfowych.

System różniczkowy, który ma być ostatnim wyrazem racyonalnego uregulowania dopływu do pewnych ognisk i, że tak powiemy, rozlewu wszelkich produktów, zastosowano bardzo szeroko, z różnymi stopniami powodzenia. Taryfy takie, stworzone głównie dla ładunków zbożowych, można było spotkać w Prusach, a dotąd istnieją one w Austryi i Węgrzech. Wobec atoli odmiennych warunków ekonomicznych i etnograficznych, nie mogą one całkowicie służyć za wzór dla innych państw, zwłaszcza Rosyi. W Prusach domagano się stawek różniczkowych na przestrzenie w kierunku od wschodu ku zachodowi, ażeby ułatwić prowincyom wschodnim, bardzo plennym, dowóz zboża nad Ren i na krańce zachodnie i umożliwić współzawodnictwo z produktem obcym, który obficie napływa do tamtych stron drogą morską i rzeczną. Dla określenia stawek robiono obliczenia, oparto na cenach i taryfach komunikacyj wodnych. Taka zasada w obrębie państwa rosyjskiego jest niemożliwa, gdyż nie dochodzi tu wcale zboże obce, nawet do ubogich guberni północnych. Przytem w Prusach sam handel różni się znacznie: kraj ten nie wywozi zboża. Taryfy różniczkowe (w kierunku wschodnio-zachodnim) nie mogły się tam utrzymać długo; zniesiono je przed dwoma laty.

Pod względem warunków hanlowych bardziej zbliżone są do Rosyi Austro-Węgry i Rumunia, gdyż wywożą za granice nadmiary swego zboża. Ale i tu mała przestrzeń i skromny udział w rynkach międzynarodowych wytwarzają rażące różnice. Najwięcej cech wspólnych w tej mierze z państwem rosyjskiem przedstawiają Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, jako rozległe i wywozowe obszary rolnicze. Ale tam znowu niema stałych taryf, ani systemu jednolitego, a tem bardziej — steru, któryby kierował tą machineryą złożoną. Zresztą charakter gospodarki amerykańskiej zupełnie jest inny. Tak więc Rosya nie może korzystać z obcych wzorów i wskazówek w zakresie techniki taryfowej; przyjęła ona tylko samą ideę potrąceń w stosunku do przestrzeni, cała zaś budowa mechanizmu transportowego musiała się oprzeć na warunkach i potrzebach ekonomicznych, ściśle miejscowych. Czy się oparła na nich w całej rozciągłości?

P. A. Suligowski, rozejrzawszy się we wszystkich pracach przygotowawczych, nie znalazł w nich podstaw wyrozumowanych; naukowego uzasadnienia taryf zbożowych dotąd nie sformułowano. To właśnie skłoniło autora do zbudowania nowych zasad, zgodnych ze wskazówkami ekonomii i potrzebami warunków życiowych.

Materyały, ogłoszone z chwilą wydania pierwszych taryf państwowych r. 1889, obejmują studya o handlu zbożowym Rosyi i innych państw, rozprawy o cenach i frachtach morskich, tudzież szczegółowe wiadomości o dowozach na rynki Europy zachodniej, nie dotykają zasad, usprawiedliwiających nadanie tego lub innego systemu. Ujawniła się tylko dążność do zapewnienia wszystkim okręgom państwa ułatwionego dowozu, bądź ku morzu Bałtyckiemu, bądź na południe ku Czarnemu i Azowskiemu. Idea zespolenia prowincyj państwa pod względem ruchu zbożowego z zachodem lub południem, stanowiła główną wskazówkę, którą się kierowano przy wykonywaniu podjętych zadań. Nie lekceważąc wcale potrzeby zapewnienia taniego dowozu zboża do portów dla dalszej wysyłki za granicę, p. Suligowski nie może jednak zgodzić się na uznanie powyższej idei za dostateczną podstawę systemu taryfowego. Pozostaje ona w niejakiem pokrewieństwie z zasadami, któremi w Prusach usprawiedliwiano czasowe taryfy zbożowe od wschodu na zachód; nie posiada przecież cech stałości i wprowadza sprawę na grunt, niedający się ująć w żadne karby. „Handel zbożowy zależy od tysiącznych okoliczności, w miarę zmiany konjunktur zmienia on lub przekształca swoje drogi i kierunki, które trudno utrwalić chociażby na czas krótki i sztuczne środki w tej mierze nie przyniosą pożądanego rezultatu. Zresztą podobna idea nie objaśnia nas wcale o potrzebach ludności i środkach ich zaspokojenia, o czem wiedzieć należy, chcąc przy pomocy taryf regulować bieg życia ekonomicznego."

Przed rewizyą taryf, na początku r. 1893, zebrano również obfite materyały, po raz pierwszy zajrzano do cyfr, ogłoszonych przez departament rolniczy. Nie zwrócono jednak dotąd bacznej uwagi na ścisły związek przewozu zboża z kwestyą wyżywienia ludności, a zatem i ze stanem produkcyi rolnej, jej rozmiarami i zasobami, kosztami i ciężarami. Zasługą jest p. Suligowskiego, że zajrzał głębiej do tych zjawisk, wyświetlił je i ugruntował odpowiednio w najświeższej swojej książce. Między innemi za materyał posłużyły mu wskazówki p. t. „Zbiór przeciętny zboża i kartofli za lat 10, od r. 1883 do 1892 w stosunku do potrzeb krajowych," ogłoszone w roku ubiegłym przez komitet statystyczny. Praca ta wykazała, że każda gubernia i powiat wytwarza przy małym i dobrym urodzaju, ile potrzebuje na zasiew i na zaspokojenie potrzeb ludności; dalej: jakie były niedobory i nadwyżki, w końcu wyprowadza przeciętne dla tych zbiorów, braków i nadmiarów. Otóż nasz prawnik-ekonomista, podzieliwszy Rosyę europejską na 11 okręgów i dodawszy Królestwo, jako 12-ty, ułożył tablicę, która przedstawia dokładny obraz produkcyi rolnej. Wreszcie przyłączył do grupy gubernij wschodnich i południowo-wschodnich dwie, często pomijane

*) „Produkcya rolna i taryfy kolejowe." Warszawa, 1895.

przez departament rolniczy: astrachańską i orenburską. Z ogólnych wykazów wyłączono tylko Finlandyą i Kaukaz, dla braku odpowiednich danych. W tablicy okręgi ułożone są koleją nadmiaru produkcyi; pierwsze miejsce zajmują gubernie południowo stepowe, w których nadwyżka ponad potrzeby ludności i zasiewu wynosi blizko 150 tys. pudów rocznie; ostatnie zaś — północno-zachodnie. Okrąg petersburski zapożycza rocznie 8 milionów pudów od innych. Prawie wszystkie okręgi posiadają nadmiar zboża, oprócz gubernij przemysłowych, zachodnich, północno-zachodnich i północnych. Wogóle nadwyżki produkcyi wynoszą rocznie około 544 milionów, niedobory zaś niewiele więcej nad 23 miliony, co daje przewyżkę przeciętną przeszło 520 milionów pudów rocznie. W innej tablicy autor przedstawił okręgi również koleją nadmiarów lub braków, ale w stosunku do zaludnienia. Z ugrupowania tych danych okazuje się, że gubernie południowe stepowe mogłyby wyżywić ludność przeszło dwa razy większą, aniżeli posiadają, północnym zaś (właściwie archangielskiej i ołoneckiej) brak środków na wyżywienie 27%, tj. czwartej części mieszkańców tamtejszych. W okręgu przemysłowym niedobór ogarnia [illegible] ludności, co powoduje głównie i prawie wyłącznie gub. moskiewska z miastem Moskwą, gdyż tam brak 50% do pokrycia potrzeb zaludnienia. Dla wyrównania tych szczerb idą nadmiary z innych gubernij okręgu; lecz pozostaje jeszcze w bilansie ogólnym powyższy niedobór (6%). To samo zjawisko panuje w okręgu północno-zachodnim. Głównie zaś Petersburg z całą gubernią odczuwa braki dla 30% swej ludności, a pochłania nadmiary z gub. pskowskiej, nowogrodzkiej i daje w końcowym obrachunku niedobór 7% dla całego okręgu.

Tablice, obejmujące Królestwo Polskie, wykazują, że produkcya ogólna wynosi prawie 184½ mil., z przewyżką po nad potrzeby 36½ mil. pudów rocznie. Grunty tutejsze nie należą do najlepszych, a więc wysokie rezultaty pochodzą z lepszej kultury, starannej uprawy. Wprawdzie gub. warszawska i piotrkowska, jako najbardziej przemysłowe, wytwarzają ilość nie wystarczającą na własne potrzeby (w pierwszej brak dla 1/10, w drugiej dla 2/5 ludności), ale tu łatwo przyjść mogą z zasiłkiem okolice sąsiednie. Przy sposobności musimy zaznaczyć znamienny fakt wykonanych u nas niedokładnych obliczeń, tem bardziej zasługujących na potępienie, że na ich podstawie miały się oprzeć zmiany taryfowe. Dane te weszły do memoryału, opracowanego w tutejszem Towarzystwie przemysłu i handlu (r. 1893). Otóż wnioski o stanie produkcyi Królestwa Polskiego w okresie 1888—90, wysnuto z dowozu i wywozu zboża przez główniejsze punkty kolejowe, przyczem wypadło, że wytwórczość znacznie zmalała. Nie zwrócono czy nie chciano zwrócić na to uwagi, że o produkcyi można sądzić trafnie tylko przez jej badanie i zestawienie z prawdopodobnem spożyciem za pomocą środków, czerpanych z nauki i doświadczenia. Do rachunku przyjęto dowozy przez trzy punkty: Brześć, Kowel, Warszawę, a wywozy jedynie z Mławy, Nieszawy, Aleksandrowa i Sosnowic; pominięto zaś bardzo wiele innych. Np. na znacznej przestrzeni pasu pogranicznego liczne majątki wywożą na osiach swoją produkcyę do pobliskich ognisk handlu w Prusiech, a im bardziej ceny spadają, tem większe musi być ożywienie na tych drogach kołowych. Prócz tego z gub. suwalskiej wywożą końmi i Niemnem. Tymczasem memoryał zupełnie wykreślił ze swego rachunku ową gubernię. Szkoda! bo jakkolwiek były tam szczegóły prawdziwe, praca ta nie przedstawiła dokładnie całego obrazu warunków, a więc i nie miała dostatecznej powagi.

Oprócz zboża, trzeba brać w rachubę kartofle, jako jeden z pierwszorzędnych środków zaspokojenia potrzeb ludności. Otóż przyjmując pud kartofli za 0,19 puda żyta, otrzymamy następujące dane z tablicy p. Suligowskiego: Na wschodzie i wewnątrz państwa wytwórczość jest słaba; na zachodzie zaś, szczególnie w Królestwie Polskiem i kraju nadbałtyckim, przynosi ważną pomoc: w pierwszem daje tyle środków pożywienia, co 5 pudów żyta, w drugim — 3½ na głowę. Wreszcie gubernie przemysłowo i północne czarnoziemne posiadają ilości tych ziemiopłodów, dających w rachunku żyta 1 pud na głowę rocznie.

Z owych obliczeń łatwo przyjść do przekonania, że prawie wszystkie prowincye mogą pokryć swoje potrzeby, nie uciekając się do pomocy obcej. A zatem większa część państwa pod względem przewozu zboża interesowaną jest raczej w udogodnieniach dla miejscowego drobnego ruchu, aniżeli w taniości przewozu na dalekie mety. Zdarzają się wprawdzie od czasu do czasu chwile wielkiego niedostatku i głodu, lecz te należą do wyjątkowych i wymagają także środków wyjątkowych, doraźnych. Ale stały system taryfowy zawsze należy opierać na przeciętnych danych.

Za podstawę obliczeń w tym względzie trzeba także brać koszty produkcyi. Tutaj znowu z tablic p. Sulig. widzimy jasno różnice warunków wytwórczości. Koszty jej bywają rozmaite: 29½—59½ kop od puda żyta; na dziesięcinę tworzą podobną skalę od 21 rs. 33 kop. do 47 rs. 36 kop. W guberniach północno zachodnich i Królestwie Polskiem wytworzenie puda żyta kosztuje blizko 60 kop.; w guberniach czarnoziemnych tudzież na południu i wschodzie — nie więcej, niż 30 kop., a nawet w środkowych czarnoziemnych tylko 29½ kop. Prawie to samo zjawisko daje się spostrzegać w produkcyi pszenicy: na zachodnich kresach państwa koszty są wyższe, na południu i wschodzie — niższe. Wyjątek stanowi produkcya pszenicy jarej w guberniach północnych: ołonieckiej i wołogodzkiej, tak tania, że pod względem kosztów zajmuje ostatnie miejsce; ale ponieważ mało jej tam zasiewają, więc nie oddziaływa szeroko. Wreszcie ten sam objaw z żytem i pszenicą powtarza się w wytwarzaniu owsa.

Wysokie koszty produkcyi wszelkiego rodzaju ziarna na zachodzie, szczególnie w kraju Nadbałtyckim i Królestwie Polskiem, wynikają z doskonalszej kultury rolnej, a w guberniach północno-zachodnich przypisać je należy poniekąd kulturze, bardziej wszakże nieprzyjaznym warunkom klimatycznym, gdy na południu i wschodzie oraz w pasie czarnoziemnym wytwórczość jest tańsza bez zastosowania ulepszonych sposobów uprawy. Gubernie przemysłowe również wkładają więcej pracy i kapitału w ziemię, starannie uprawianą z zastosowaniem ulepszeń technicznych.

Z tego powodu dla okręgów o droższej kulturze, posiadających znaczne zasoby zboża, nadmierny jego dowóz stamtąd, gdzie się taniej wytwarza, jest nietylko niepożądany, ale wprost zgubny. Tanie zboże, dzięki taniemu dowozowi, stanowczo pobija produkcyę drogą, sprowadza nadmiar, a w ślad za tem spadek cen niżej kosztów wytwórczości. Zrazu okręgi zwyciężające ciągną z tego korzyść, ale gdy ceny w punktach dowozu spadną, zysk zaczyna się zmniejszać i może z czasem dojść do zera. Coś podobnego widzimy już obecnie, a ludność znacznych obszarów odczułaby to zjawisko jeszcze bardziej, gdyby system przetrwał dłużej bez zmiany. „Dotychczasowe ulgi taryfowe na przewóz wewnętrzny — mówi p. Suligowski — przyczyniają się niewiele do rozwoju kultury rolnej w częściach wschodnich, przyniosły już niewątpliwy uszczerbek rolnictwu na wielkich przestrzeniach, w pewnej części środka, na południu i zachodzie państwa. Jeżeli istnieje potrzeba współdziałania dla rozwoju sił rolniczych na wschodzie drogą ułatwionego usuwania nadmiarów produkcyi, należy wywozowi dać inny kierunek, uprzystępniając zbyt za granicę.“ System taki nie naruszy kultury rolnej w żadnej miejscowości

Dreg.

TOWARZYSTWO CHMIELARSKIE.

Stało niepowodzenie i smutne wyniki dorocznych jarmarków, wogóle groza upadku ważnej gałęzi gospodarki między innemi pod naciskiem produkcyi i handlu zagranicznego, wszystko to skłoniło naszych chmielarzy do stanowczych kroków w celach obrony i wzmocnienia własnych interesów. Zebrawszy się więc w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa pod skrzydłami sekcyi rolnej, stworzyli najpierw stałą delegacyę która potem z długich narad wysnuła projekt syndykatu, a jednocześnie idąc drogą praktyczną, zawiązała bezpośrednie stosunki z głównym rynkiem europejskim—Norymbergą. To dało możność przekonania się, że dobry chmiel, umiejętnie przygotowany na sprzedaż, może mieć tam powodzenie i nawet zdobyć lepsze ceny niż w Warszawie. Wybrano przedstawiciela, p. Dzwonkowskiego, który zdołał na miejscu w krótkim czasie z 92 dostarczonych wańtuchów sprzedać 77 po cenie 12 rs. za pud. Podczas jarmarku tegorocznego w toku narad nad sposobami zapobiegania przesileniu, położono nacisk na jeden bardzo ważny szkopuł: wysokie cło, pobierane na granicy niemieckiej. Ale wobec dziesięcioletniej mocy traktatu handlowego, nie można żadnych ulg oczekiwać pod tym względem. Postanowiono więc za pośrednictwem Towarzystwa przemysłu i handlu starać się u władz wyższych o zwrot cła za chmiel wywieziony do obcych państw. Przed wysłaniem wszakże tego podania zarząd oddziału zwrócił się do ministeryum rolnictwa z prośbą o rzeczoznawcę, któremu nasi chmielarze mogliby jasno i szczegółowo przedstawić obraz swych warunków. Zabiegi te bardzo prędko wywołały skutek, bo po upływie dwu tygodni przysłano z Petersburga p. Myszenkowa, doświadczonego specyalistę. Uczestniczył on w naradach delegacyi i udzielił wskazówek, na których mocy zaniechano zabiegów o premie wywozowe w postaci zwrotu cła tudzież porzucono myśl stworzenia syndykatu, a natomiast postanowiono zawiązać w Warszawie Towarzystwo akcyjne chmielarskie. Dla opracowania odpowiednich przepisów zaproszono mecenasa Adolfa Suligowskiego i p. Juljana Wieniawskiego. Ustawa jest już gotowa zupełnie i po przejściu niezbędnych szczebli formalności, będzie mogła służyć za podstawę organizacyi nowego związku. Wzorowano ją na przepisach grupy wytwórców gub. moskiewskiej.

Ażeby dać pojęcie o zakresie działalności przyszłej instytucyi, bierzemy z licznych i obszernych paragrafów szczegóły najważniejsze, zasadnicze. Celem Towarzystwa jest podniesienie kultury chmielu, uprawa, kupno i sprzedaż, pośrednictwo w handlu i wreszcie — udzielanie kredytu wytwórcom i nabywcom. Dla urzeczywistnienia tych zadań, Towarzystwo stara się rozpowszechnić najcenniejsze gatunki produktów, udoskonalić kulturę, zbiory, suszenie. Ażeby to osiągnąć, urządza wzorowe chmielniki, szerzy między hodowcami dane o uprawie, cenach itd., nadto organizuje wystawy przedmiotów, dotyczących chmielarstwa, lub mających z niem związek, samo uczestniczy w wystawach Cesarstwa i za granicą, ułatwia udział wszystkim eksponentom na życzenie; wyznacza

i udziela nagrody, urządza szkoły, kursy i wykłady publiczne na mocy przepisów istniejących, kupuje na własny rachunek i przyjmuje w komis chmiel miejscowej produkcyi w obrębie państwa rosyjskiego, sortuje towar przyjęty, miesza (zaciera indywidualność hodowli), odpowiednio przysposabia, gatunkuje partyami, stosownie do potrzeb browarów. Sprzedaje chmiel do Cesarstwa i za granicę. Pośredniczy w wyjednaniu kredytu w Banku państwa na ten produkt; nadto—w kupnie i dostawie maszyn narzędzi, sadzonek, nawozów sztucznych, niezbędnych w tym dziale gospodarki; wreszcie—w ubezpieczeniu chmielu od gradobicia. Na towar, przyjęty w komis daje zaliczki, w miarę własnych środków i kredytu.

Ma prawo we wszystkich miejscowościach państwa nabywać, dzierżawić, urządzać różne zakłady przemysłowe, budowle itd. Kapitał zakładowy Towarzystwa określono w sumie 150 tysięcy rs., rozdzielonych na trzysta akcyi, po 500 rs. każda. Po ogłoszeniu ustawy uczestnicy mają wnosić w ciągu sześciu miesięcy po 300 rs. na każdą akcyę. Fundusz w ten sposób zebrany pozwoli rozpocząć działalność instytucyi. W razie zaś gdyby te zaliczenia nie wpłynęły w dostatecznej ilości, Towarzystwo uważa się za nieistniejące, a pobrane pieniądze muszą być zwrócone z potrąceniem pewnego procentu na pokrycie wydatków, poniesionych przez organizatorów. Terminy i rozmiary następnych rat będą ustanowione uchwałą ogólnego zebrania akcyonaryuszów, z tem wszakże zastrzeżeniem, aby zupełne uiszczenie należności za każdą akcyę, było uskutecznione najpóźniej w ciągu dwu lat od daty zatwierdzenia ustawy. W razie niespełnienia tego warunku, Towarzystwo likwiduje swoje interesy.

Akcye dopełniające Towarzystwo wypuszcza po cenie poprzednich, z pewną wszakże dopłatą, na zwiększenie kapitału zapasowego. Przy nowych emisyach pierwszeństwo w nabywaniu akcyi mają posiadacze poprzednich. Dopiero gdy nie rozkupią całkowitej ilości, będą ogłaszane publiczne podpisy.

Z tego pobieżnego przeglądu zasługuje na uwagę kilka szczegółów: Ustawodawca oznaczył kapitał przyszłej instytucyi ekonomicznej w sumie 150,000 rs. i znając warunki materyalne naszych wytwórców tudzież chcąc Towarzystwo jaknajprędzej powołać do życia, ułatwił nabywanie akcyi ratami. Wniesione jednorazowo po 300 rs. za każdą, dadzą fundusz, z którym już można wziąć się do dzieła. W spłacie reszty również są ułatwienia i pewność ściągnięcia należności, bo gdy akcyonaryusz nie będzie mógł jej uiścić w gotowiźnie, wniesie towarem, danym w komis. Przy tem należy liczyć i na materyalne poparcie ministeryum rolnictwa, w razie potrzeby.

Mamy więc w kronice bieżącej życia ekonomicznego fakt niezmiernie ważny: nowe zrzeszenie, które niewątpliwie zmieni gruntownie warunki naszego chmielarstwa, da wytwórcom siłę i możność udoskonalania tudzież rozszerzania produkcyi. Towarzystwo przyjmuje na siebie doniosłą rolę pośrednika, komisyonera. Jako ognisko, dające poważną rękojmię pod każdym względem, potrafi ono zawiązać trwałe i pożyteczne stosunki z rynkami międzynarodowymi tudzież Cesarstwem. Oczywiście i charakter jarmarków obecnych zmieni się zupełnie, znikną kłopoty pomieszczenia towaru, hodowca zaś oddając go pod opiekę swej instytucyi, będzie miał tę pewność, że owoce jego pracy nie zmarnieją lub nie pójdą za bezcen, a zaliczka lub kredyt, wyjednany przez tego pośrednika, pozwoli mu przetrwać chwile niepomyślne. Towar straci swą imienność, a jednocześnie zyska na wartości, bo Towarzystwo będzie miało wszelkie środki przygotowania go dla produkcyi przetwórczej.

Ponieważ przedsiębiorcy zagraniczni tę mają wyższość nad naszymi, że mogą browarom udzielać kredyt kilkomiesięczny, więc niewątpliwie i warszawskie przyszłe stowarzyszenie zechce chwycić się tego sposobu, a wtedy napewno pobije współzawodników obcych, dobrze przyrządzonym produktem, szybką i tanią dostawą. Hodowcy nasi, rozproszeni obecnie, nie będą potrzebowali zdawać się na łaskę obcych spekulantów, przybywających na jarmarki, gdyż Towarzystwo będzie ustawicznie dążyć do zawiązania stosunków z głównemi ogniskami handlu za granicą. Najmocniejszym węzłem w takich razach jest pewność, że towar nadejdzie w określonych z góry ilościach i gatunkach. Takiej rękojmi nigdy nie mogą dać przygodni dostawcy lecz tylko poważne stowarzyszenie. Miejmy więc nadzieję, że ono potrafi tą drogą zdobyć sobie rynki obce. Będzie ono zapewne uświadamiać swych uczestników o powszechnem położeniu handlu i przemysłu, w każdej chwili wskaże tętno interesów ogólno światowych i da jasne pojęcie o stanie produkcyi w kraju, o której całokształcie dzisiaj mamy bardzo słabe wyobrażenie. Taka tylko ciągła jasność, obeznanie się z biegiem spraw, stanem urodzajów, wahaniem się produkcyi, może być podstawą do świadomego regulowania chmielarstwa w kraju, przewidywania i unikania niepowodzenia, wreszcie pochwytywania chwil wyjątkowych i przyjaznych.

Rzecz dziwna, że nasi wytwórcy, nękani przez tyle lat niepowodzeniem, nie mogli dotychczas znaleźć tak racyonalnej drogi ratunku. Na biadania bezsilne i spory bezowocne stracili dużo czasu i trzeba było aż przybycia p. Myszonkowa dla udzielenia wskazówek, które stały się nagłym prądem, zrzucającym łuskę z oczu.

Zen. Piet.

Oszustwo. *Kuryer Warsz.* podaje następujący, wielce charakterystyczny wypadek: Dnia 16 b. m. na zebraniu giełdowem ujawniła się bardzo silna zwyżka kursu akcyj Towarzystwa zakładów putilowskich. Powodem były depesze, nadesłane z giełdy petersburskiej do niektórych osób i firm warszawskich, zwiastujące zwyżkę kursową tych akcyj w Petersburgu. Cedula urzędowa nie wykazała tego, a po sprawdzeniu w drodze telegraficznej przekonano się że korespondenci petersburscy wcale telegramów owych do Warszawy nie wysyłali. Sprawę całą, jako podpodpadającą pod prawo karne, komitet giełdowy przedstawił urzędowi prokuratorskiemu a zarazem zawiadomił zarząd telegrafów w Petersburgu o zaszłym wypadku fałszerstwa. Przytem przypomina członkom zgromadzenia istotniejące przepisy co do wprowadzania na giełdę osób trzecich, zaznacza, że prawo handlowania wartościami publicznemi mają wyłącznie osoby wykupujące patenty, oraz zwraca uwagę na odpowiedzialność moralną i materyalną, jaką zaciąga wprowadzający daną osobę.

KRONIKA.

Nawał materyału bieżącego i potrzeba pomieszczenia niektórych artykułów przed nowym rokiem, zmusiły nas do przerwania druku pracy Marholmowej w odcinku. Praca owa nie ucierpi na tem, gdyż, jak wiadomo czytelnikom, składa się z sylwetek samoistnych.

Sprawy społeczne. W Warszawie przy ul. Marszałkowskiej powstała nowa księgarnia, której główną specyalnością będą wydawnictwa pedagogiczne i ludowe.

— Ministeryum skarbu postanowiło udzielić wychowańcom wszystkich zakładów naukowych ulgi w przejazdach kolejami żelaznemi: na odległość 70 do 140 wiorst 50 kop. ustępstwa, od 140 do 900 — rs. 1. Na odległość mniejszą, niż 70 i większą, niż 900 w., żadnych ulg nie ma. Słuchacze farmacyi również korzystają z tych przywilejów.

— *Kuryer świąteczny* drogą licytacyi stał się własnością p. Józefa Jankowskiego.

— Do pocztowych kas oszczędności od nowego roku wprowadzone będą marki storublowe.

— *Kuryer warsz.* donosi, iż grono osób, pracujących na polu pedagogicznem, stara się o urządzenie odczytów, przystępnych dla dziatwy.

— *Graždanin* donosi, że generał-major Kleigels opracował projekt ubezpieczenia strażaków warszawskich na wypadek śmierci lub kalectwa przy pożarze.

Doniesienie urzędowe. *Prawit. Wiest.* ogłasza: Oberpolicmajster Warszawy, generał major Kleigels, mianowany naczelnikiem m. Petersburga.

Szkoły. Rada państwa postanowiła przeznaczyć 180,000 rs. na budowle Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi.

— Na utrzymanie szkoły rzemieślniczej im. Konarskiego w Warszawie, przekształconej wedle nowego typu, będzie corocznie wypłacany zasiłek: z funduszu skarbu 2,460 i miejskiego — 2,500 rs.

— Na zjeździe profesyonalistów w Moskwie poruszona będzie sprawa otwierania w państwie szkół technicznych według typu politechniki.

Zdrowie publiczne. Poszukiwany jest lekarz do pow. rosieńskiego w gub. kowieńskiej (pensya roczna rs. 400).

— W Petersburgu od 7 do 14 grudnia zachorowało na cholerę 78, zmarło 46 osób; w gub. wołyńskiej od 18 do 30 listopada zachorowało 183, zmarło 90, w kijowskiej w tym samym czasie zachorowało 73, zmarło 27, a od 7 do 14 grudnia zachorowało 45, zmarło 24; w orłowskiej zachorowała 1 osoba, w petersburskiej zachor. 21, zmarły 2 (od 17 listopada do 7 grudnia).

— Z powodu wielkiego napływu obłąkanych, postanowiono rozszerzyć szpital św. Jana Bożego w Warszawie o 100 łóżek.

Koleje i komunikacye. Wkrótce otwarty będzie ruch towarowy i osobowy na nowej odnodze ekaterynburskiej kolei Syberyjskiej. Budowa prowadzona była bardzo pospiesznie — w ciągu pół roku ułożono szyny na na 227 wiorstach.

Wystawy. Dn. 13 b. m. w Moskwie otwarto pierwszą wszechpaństwową wystawę rolniczą. Zdamy o niej sprawę osobno.

— Wkrótce otwarta będzie w Moskwie wystawa materyałów budowlanych, urządzona przez miejscowe Towarzystwo architektów.

Sądy. W Dźwińsku trzech członków zarządu miejskiego, właścicieli domów, za nadużycia, popełniane w sprawach publicznych, dostało się z wyroku izby sądowej do rot aresztanckich.

Zbrodnia. W majątku Rumelowszczyźnie, pow. dziśnieńskiego, gub. wileńskiej, właściciel Sokołowski, znany jako człowiek zamożny i szczodry dla ubogich, został przez niewykrytych jeszcze złoczyńców zamordowany w swem własnem łóżku, dla grabieży. Służbę tegoż dnia zwolnił on na zabawę weselną, a domu pilnował tylko pies, którego zabójcy otruli.

Wypadki. W Belgii powodzie poczyniły wielkie szkody.

— Na Atlantyku zetknęły się dwa parowce: angielski „Germany“ i szkocki „Kumbran.“ Drugi zatonął.

Odpowiedzi Redakcyi.

Amelii. W Administracyi naszej jest dla Pani odpowiedź listowna.

W. S. 1) Można; 2) obie formy są dobre; my piszemy: „długimi palcami,“ gdyż nie widzimy żadnej racyi odróżniania zakończeń przymiotników przy rzeczownikach żywotnych i nieżywotnych. Każdy rzeczownik, który ma rodzaj, jest gramatycznie żywotnym.

Pani Ew P. w Krakowie. Wobec pracy Marholmowej, dla nas jest to już zbytecznem.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Декабря 1895 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa. ul. Mazowiecka, Nr. 8.